

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA TAŃCZĄCEJ
BECZKI**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: **KRYSTYNA BOGLAR**)

KILKA SŁÓW OD ALFREDA HITCHCOCKA

Zapewne dobrze pamiętacie moich przyjaciół zwanych Trzema Detektywami? Znow są w akcji. Muszę przyznać, że poczynają sobie coraz lepiej. I trafiają im się coraz trudniejsze sprawy do wyjaśnienia. Lecz wciąż posługują się taką samą wizytówką:

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

Jupiter Jones wciąż jeździ starym, rozsypującym się fordem. Pracuje u swojej ciotki Matyldy i wuja Tytusa, właścicieli składu złomu w Rocky Beach - uroczym miasteczku nad Oceanem Spokojnym. Jest głową spółki detektywistycznej. Doskonały diagnostyk. Myśli długo, ale precyzyjnie. Biedak, ma kłopoty z nadmierną tuszą.

Pete Crenshaw - sportowiec. Pływa, gra w koszykówkę, umie pokonać każdą przeszkodę, jest ostrożny. Dzięki niemu detektywi uniknęli niejednej pułapki. Razem z ojcem - specjalistą od efektów specjalnych - pracuje czasem dla wytwórni filmowej Metro-Goldwyn-Mayer.

Bob Andrews - typowy "mózgowiec". Zajmuje się dokumentacją. Jak nikt zna się na komputerach. Bez żeglowania po internecie nie wyobraża sobie życia. Dorabia, pracując w bibliotece w Rocky Beach. Czasami dostarcza też materiałów swemu ojcu - reporterowi "Los Angeles Sun".

Jupe nawet nie przypuszczał, w co się pakuje, gdy przed Kwaterą Główną zajrzał pod krzak tamaryszku. A potem? Gonitwy, podchody, dziwne znaki na murze i... no, to już tajemnica, którą rozwikła sławna Trójka!

ROZDZIAŁ 1

DLACZEGO ZNIKNAŁ TRUP?

Jupiter Jones wyjął klucz do Kwatery Głównej. Jak zwykle schowany był w dziobie Kaczora Donalda. Figura z Disneyowskiego filmu tkwiła tuż przy wejściu. Dawno temu przywieziono ją ze składu złomu. I została do dziś. Już miał otworzyć drzwi, gdy nagle wzrok jego spoczął na kwitnącym krzaku tamaryszku. Coś było nie tak. Ale nie wiedział co. Zrobił trzy kroki w lewo i poczuł, że ciarki przechodzą mu po grzbiecie. Dwa, może trzy razy przełknął ślinę, zamrugał powiekami, ale to “coś” nie zniknęło. Spod gałązek wystawała... ludzka dłoń. Z zaciśniętymi palcami.

Jupiter obrócił się wokół własnej osi. Jeszcze raz spojrzął, marząc w duchu, by to, co widział, zniknęło. Niestety. Dłoń była na miejscu. Gorzej, przedłużyła się w przedramię, ponieważ podmuch wiatru uniósł delikatne gałązki obsypane różowym puchem. Nie było rady. Detektyw Jupiter Jones musiał podjąć wyzwanie. Skradając się, nie wiedząc czemu, na palcach, podszedł bliżej. Oprócz ręki zobaczył całe ciało.

- Zgiń, przepadnij, siło nieczysta! - wymamrotał. - Trup u wejścia do Kwatery Głównej Trzech Detektywów? Niczego nie ruszać, niczego nie dotykać! Zasada pierwsza: nie zostawiać odcisków palców! Zasada druga: powiadomić, kogo trzeba! Ale... kogo trzeba?

Przyjrzał się uważnie temu, co wystawało z krzaków: dwóm kończynom dolnym odzianym w dżinsowe spodnie i czarne aksamitne pantofle bez obcasów oraz niebieskiej bluzie okrywającej tułów. Ciało spoczywało na brzuchu, z lewą ręką podwinętą, a drugą wyciągniętą w bok. Głowę i twarz zakrywała fala długich, czarnych, lśniących włosów.

- Kobieta! - wymruczał Jupiter, oblizując suche usta. Nie co dzień zdarzało mu się potykać o zwłoki. Mówiąc szczerze, stało się to po raz pierwszy. Nigdzie nie było widać plam krwi ani w ogóle żadnych śladów.

Jupiter powolutku się uspokajał. Wziął głęboki oddech, cofnął się do drzwi i drżącymi rękami otwierał zamek.

- Zawiadomić Boba i Pete'a - powiedział głośno w pustkę przestronnego wnętrza. - Zawiadomić Boba i... - ręka sama sięgnęła do lodówki. Z oświetlonego wnętrza zionęła pustka. No nie. W głębi tkwiła ostatnia puszcza coli. Pił ją, szczękając zębami o metalowy brzeg. Potem, lekko się zataczając, podszedł do telefonu.

- Pete? - wyszeptał.

- Jupe? - głos Crenshawa brzmiał świeżo i wesoło. - Dobrze, że dzwonisz. Mam

nowinę.

- Ja też - zaszczekał Jupiter Jones. - Jest trup.

- Co?

- Trup. Całkiem świeży. W krzaku tamaryszku. Nie wiem...

- Dobrze się czujesz? - zatroskał się Pete.

- A można się czuć dobrze, mając nieboszczkę pod drzwiami?! - wrzasnął strasznym głosem.

Pete zaniemówił. Nie przypuszczał, że to, co oznajmił właśnie przyjaciel, może być prawdą.

- Zaraz przyjadę. Tylko wyprowadzę rower. Jupe?

- Co?

- Nie bujasz? No... z tym trupem? Ja rozumiem, że od dawna nasza spółka detektywistyczna nie miała zajęcia, ale żeby od razu... nieboszczyk?

- Nieboszczka. To kobieta. No... może raczej dziewczyna. Nieduża, czarne włosy...

- Już jadę!

Jupiter z przykrością stwierdził, że dłoń, w której trzymał słuchawkę, jest wilgotna od potu. Mimo to wykręcił numer Boba.

Długo nikt nie odbierał. W końcu usłyszał głos mamy Andrewsa.

- Tak, Jupe?

- Potrzebny mi Bob. Natychmiast.

- To niemożliwe. Jest w bibliotece miejskiej. Powiem mu, kiedy wróci, że dzwoniłeś.

- Bardzo pani miła - wystękał Pierwszy Detektyw. Odłożył słuchawkę tak gwałtownie, jakby była z rozżarzonej stali, a nie z plastiku. Podszedł do drzwi i zawahał się. Nie miał odwagi jeszcze raz przyjrzeć się martwemu ciału. Ale ciekawość zwyciężyła. Wyszedł, zrobił dwa kroki... i wtedy to się stało!

- Jupe? Co z tobą? - Pete Crenshaw potrząsał przyjacielem z siłą huraganu Doiły.

Jupiter Jones zdziwiony otworzył oczy.

- A... co ma być? - wystękał.

- Dlaczego leżysz w krzakach?

- Ja? Leżę? - Jupe usiłował unieść głowę. Okazała się ciężkim baniakiem. Syknął z bólu. - Co mi jest?

Pete Crenshaw spryskał mu twarz wodą. Potem uważnie zbadał czaszkę. Tuż za lewym uchem nabrzmiewał nieelichy guz.

- Nie zabijaj! - wrzasnął Jupe, czując przeraźliwy ból. - Już jest jeden trup!

- Gdzie? - Pete rozglądał się dookoła. - Niczego takiego nie zauważyłem.

Jupe spróbował usiąść. Jęknął, oparł się plecami o ścianę i szeroko otworzył oczy. Tkwił dokładnie w tym samym miejscu, gdzie niedawno, tak mu się wydawało, leżał trup czarnowłosej. Odgarnął dłonią wiotkie gałązki.

- Nie sądzisz chyba, że mam halucynacje, co?

Pete na czworakach przeszukiwał okolicę. Coś go zaintrygowało, bo zatrzymał się gwałtownie.

- Co to?

- Boże, człowieku, ktoś mnie walnął w łeb, ukradł zwłoki, a ty grzebiesz w ziemi?

Crenshaw obracał w palcach mały błyszczący kamyk

- Albo to szkiełko, albo...

Dźwięk rowerowego dzwonka przerwał poszukiwania, Bob Andrews hamował obok Kaczora Donalda.

- Dlaczego łazicie na czworakach? - zdziwił się niepomiernie - Ktoś coś zgubił?

Pete wyprostował się, cały czas wpatrzony w błyszczący drobiazg.

- Zaraz ci wszystko wyjaśnimy... powiedz tylko, kto tu, u nas, w Rocky Beach zna się na kamieniach?

Jupiter Jones pomału dochodził do siebie. Widział już wszystko wyraźnie, bez kolorowych plam i zamazań. Jego wzrok znów był jasny. Gorzej z umysłem. Nie rozumiał, co się stało. Ani kiedy.

- Która godzina? - wychrypiał.

Bob spojrzął na zegarek.

- Po piątej. A bo co? Powiecie wreszcie, o co chodzi?

- Jak długo byłem zamroczony? - Jupiter wstawał chwiejnie.

Pete ważył na dłoni mały kamyk rzucający w słońcu błękitne i czerwone iskry.

- Jechałem ze dwadzieścia minut. Ten, kto cię rąbnął, musiał to zrobić zaraz po twoim telefonie.

Bob wściekle tupnął nogą.

- Co, do diabła?

Jupiter zachwiał się niebezpiecznie. Pete błyskawicznie podparł go ramieniem.

- Stary, ktoś cię solidnie walnął w głowę. Musisz pojechać do lekarza. Stacy Trevis nigdy by mi nie darowała, gdybym cię do niej nie odstawił. Ma dyżur w szpitalu na Oak Cross. Na razie usiądź w fotelu. Bob, pomóż. Zaraz ci wszystko wyjaśnimy.

Dwie godziny później siedzieli w gabinecie, wdychając szpitalne zapachy. Stacy Trevis, młoda kobieta o bardzo błękitnych oczach i silnych palcach chirurga, klepała Pierwszego Detektywa po plecach.

- Wszystko w porządku, Jupe. Prześwietlenie niczego nie wykazało, ale miałeś sporo szczęścia. Takie uderzenie mogło się źle kończyć. Zgłosiliście sprawę na policji?

Pete z prawdziwą przyjemnością przyglądał się lekarce. Była taka ładna i tak niedostępna! Właśnie miała poślubić laryngologa. Łysawego faceta o rozbieganych oczkach. Boże, jaka szkoda!

- Nie. Jupe zaparł się wszystkimi łapami. Twierdzi, że Mat Wilson i tak nie uwierzy.

- W guza? Dam zaświadczenie.

- Nie w guza - wtrącił Bob, poprawiając okulary. - Tylko w tego trupa, co rzekomo zniknął.

Stacy Trevis roześmiała się perliście.

- Jupiter nie jest trupem. I obiecuję wam, że nie będzie! Znam wasze fantazje i galopującą wyobraźnię, moi detektywi! Ale teraz już przesadziliście! No, możesz wracać do domu, Jupe. Na wszelki wypadek dam ci mój domowy telefon. Połóż się, zaśnij i zacznij myśleć pozytywnie!

- A mnie to nigdy nie dała telefonu! - warknął zawiedziony Pete, gdy już znaleźli się w poczekalni.

Ciotka Matylda była niezadowolona. Gderając, przykładła siostrzeńcowi jeden zimny kompres za drugim. Wuj pykał fajkę.

- Tytusie, proszę cię, nie bagatelizuj zdrowia Jupitera!

- Nie bagatelizuję. Ale też nie widzę powodu, by mu nie wierzyć. Skoro twierdzi, że w krzakach było jakieś ciało, to...

Zadzwoił telefon.

- Żadnych rozmów! - warknęła ciotka Matylda, zgarniając do ręcznika kostki lodu. - Nie dziś! Ale Pierwszy Detektyw nie posłuchał.

- To ty, Pete?

- Ale bomba! Mówię ci...

- Gdzie? Wybuchła? - Jupe wyraźnie się ożywił.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, a potem rozległ się śmiech.

- Stary, oprzytomnij wreszcie! Mówiąc o bombie, miałem na myśli to, co odkryłem!

Jupiter głośno przełknął ślinę. Czuł się nie najlepiej, ale za nic na świecie nie chciał

się do tego przyznać.

- W porządku. Wal.

Crenshaw ściszył głos. Pewnie ktoś z rodziny znajdował się w pobliżu.

- Ten kamyk.

- Co: ten kamyk?

- Okazał się... brylantem!

Jupiter Jones o mało nie połknął własnego języka.

- Sądysz, że nieboszczka przyszła nam sprzedać brylant, zanim... ją utrupiono?

Po drugiej stronie słuchawki Pete zachichotał.

- To sprawa dla nas, detektywów. Nie dla policji. Nie warto zgłaszać nieboszczki na komisariacie, skoro takowa... nie istnieje! Znasz policyjną zasadę: nie ma ciała, nie ma zbrodni. A ciało wyparowało.

- Skąd wiesz o... - Jupiter zerknął w stronę ciotki Matyldy.

Krzętała się żwawo wokół stołu, ale dałby się pokroić na plasterki, że podsłuchiwała. -

O kamieniu?

- Sprawdziłem u jubilera.

- U nas? W Rocky Beach? To głupio!

Pete westchnął ciężko.

- Nie jestem idiotą, Jupiterze Jones. Pojechaliśmy z Bobem do Santa Monica. Tam jest filia Centrum Diamentowego z San Francisco.

- I czego się jeszcze dowiedziałeś?

- Jest jakaś afera. Tak wywnioskowaliśmy z wrzasków dochodzących z jednego z biur. Czekaliśmy w sekretariacie...

- Dobra, co dalej?

- Powiedzieliśmy facetowi, że ktoś chce ten brylant sprzedać mamie, ale ona boi się fałszywki, więc... i tak dalej.

- Ekspert z Centrum uwierzył?

Pete zachichotał.

- A jak myślisz? Bob robił dziecinnie głupie miny i...

- Co dalej?

Przez chwilę nic nie było słychać, więc Jupiter sądził, że Pete odłożył słuchawkę.

- Tak, Jupe, zgoda! Jutro się spotkamy - powiedział nagle Crenshaw beznamiętnym tonem. - Cieszę się, że wracasz do zdrowia.

Ciotka Matylda zbliżyła się z nową porcją lodu.

- Koniec gadania. Jupiterze. Marsz do łóżka! Albo zatelefonuję do pani doktor. Co wolisz?

Pierwszy Detektyw tylko westchnął na wspomnienie kasztanowych włosów Stacy Trevis. Kochali się w niej od zarania dziejów. Cała trójka.

W Kwaterze Głównej narada trwała już od południa. Bob, przecierając szkła okularów, wpatrywał się w ekran komputera. Pete i Jupe, przeszukawszy dokładnie, centymetr po centymetrze, trawnik z przyległościami, padli wreszcie na fotele, popijając coca-colę, której zapasy wyczerpywały się w tempie zastraszającym.

- Masz coś? - Pete nie umiał długo usiedzieć na miejscu. Był czynnym sportowcem i pozycję siedzącą traktował jak zło konieczne.

- Mam - wymamrotał Bob, klikając myszą. - Centrala Handlu Diamentami nazywa się NAMURA.

- I co z tego? - denerwował się Jupe. - Wyciągnięcie informacji od ciebie przypomina wrywanie zębów! Mów!

- Jesteś dziś drażliwy jak stado rekinów! - odciął się zagadnięty. - Właścicielami NAMURY w San Francisco są imigranci z Chin. A diamenty, surowe kamienie, pochodzą z kopalń w Południowej Afryce.

Jupiter Jones dotknął guza. Był już sporo mniejszy, ale wciąż bolesny.

- Jakiś przemyt?

- Nie wiem. Ale to dziwnie wygląda. W komputerze są tylko ogólnie dostępne informacje. Podejrzewam jednak, że to szwindel, który ma zachwiać południowoamerykańskim rynkiem kamieni.

- Konkurencja! - westchnął Pete, ziewając. - Ale co z tym mają wspólnego nasze znikające zwłoki?

- Ba! - stęknął filozoficznie Bob. - Brylant musiał wypaść z ręki tej nieznajomej. Gdzie go schowałeś, Pete!

Crenshaw rozciągnął usta w uśmiechu.

- Przecież nie w domu! To trefny towar. Nie mogę narażać rodziny.

- Więc co? - wymamrotał Jupiter Jones. - Połknąłeś go?

- Chodźcie, to wam pokażę - Pete uszczęśliwiony opuścił niewygodny fotel z wyłazającymi sprężynami.

Wyszli przed budynek Kwatery Głównej. Kaczor Donald stał z głupio otwartym dziobem.

- Nie powiesz mi, że obdarzyłeś zaufaniem tę kaczkę?

Crenshaw podszedł do roweru opartego o mur. Chwilę coś grzebał koło dzwonka. Potem odwrócił się z poszarzałą twarzą.

- Nie ma! A był! Tu go schowałem!

Bob pochylił głowę.

- Gdzie? W dzwonku?

- Obok, idioto! Widzisz, tu jest taki mały otwór. Zatkaną go gumą do zucia.

Jupiter Jones wznosił oczy do nieba.

- Pete! Nasz jedyny ślad! I kupa szmalu!

Crenshaw był niepokieszony. Z uwagą przyglądał się konstrukcji dzwonka.

- Nie zgubiłem go, panowie - powiedział surowo - ktoś mi ten kamień ukradł.

Spojrzeni na niego z uwagą.

- Tak sądzisz? Na jakiej podstawie? - Bob jak zwykle był dociekliwy.

- Są ślady noża. Czegoś ostrego. Zdarto przy okazji lakier. Spójrzcie!

Rzeczywiście. Na czerwonym tle rysowały się srebrzyste smugi.

Jupiter Jones skubał dolną wargę. Zawsze tak robił w chwilach największego skupienia.

- Obserwowali was. Także w Santa Monica. W tym Centrum Diamentowym. Mam nieodparte wrażenie, że wszyscy jesteśmy obserwowani.

- Przez kogo, Jupe?

- Przez tych, którzy zwinęli ciało dziewczyny. Jak sądzicie, co tu robiła?

Pete wzruszył ramionami.

- Od plaży daleko... no, nie wiem.

- A ja się domyślam - powiedział Bob z wypiekami na twarzy. - Ona szła do nas. Do Trzech Detektywów. Potrzebowała pomocy. Pewnie wolała prywatnych łapsów od policji. Może... była nielegalną imigrantką z Chin? Bała się deportacji?

Jupiter Jones zaklaskał w dłonie.

- Brawo, Bob! Myślisz. I to niegłupio. Ale dziewczyna musiała być śledzona. Pamiętam jej zaciśniętą dłoń. W niej pewnie chowała kamyk. Ktoś, kto chwilę później walnął mnie w głowę, musiał też sprzątnąć ciało. Diament wypadł. I tyle.

- To cud, że ten ktoś ciebie też nie zabił. - Pete wciąż wiercił palcem w dziurze, choć niczego nie mógł tam znaleźć.

- Celowo tylko mnie ogłuszył. Gdyby zabił, cała policja z Rocky Beach i okolic stanęłaby do walki z mordercą.

- A dziewczyna mogła zniknąć bez śladu - potwierdził Bob - szczególnie, jeśli rzeczywiście była nielegalną imigrantką. Nie widziałeś jej twarzy, Jupe?

- Nie. Leżała na brzuchu. Pamiętam tylko czarne, proste włosy. I niebieską bluzę. Chinki się tak ubierają.

Siedzieli na murku, obserwując dachy sąsiednich doków. Byli tak pochłonięci sprawą, że żaden z nich nie usłyszał cichych kroków. Ani nie spostrzegł cienia przemykającego za węglem domu. Dopiero kłęby dymu wydobywające się z wnętrza Kwatery Głównej poderwały ich do czynu.

- Pali się! Pete, gdzie gaśnica?

- Za biurkiem, na podłodze! Bob, ochraniaj komputer, ja się zajmę resztą!

Na szczęście zdążyli w porę. Piana z gaśnicy pokryła podłogę i część ściany. Spłonął krzywy stółek, fotel zmienił kolor z zielonego na czarny, zaś dywanik nadawał się do wyrzucenia. Sprzątanie zajęło im następną godzinę.

- No nie! - wściekał się Jupiter Jones, posapując z wysiłku. - Wypowiadam wojnę tym draniom! Nikt nie będzie podsłuchiwał i straszył Trzech Detektywów!

- Nie będzie! - warknął Bob zadowolony, że nie zniszczono sprzętu.

ROZDZIAŁ 2

KTO ZABIŁ STANA MORRISONA?

Jupiter Jones załadowywał ciężarówkę wuja Tytusa na terenie składowiska złomu. Głowa wciąż go bolała, ale starał się być użyteczny.

- Obiad! - zawołała ciotka Matylda, wychylając się przez okno.

Pierwszy Detektyw otarł pot z czoła. Upał lał się z nieba, termometr wskazywał dziewięćdziesiąt stopni w skali Fahrenheita. Ledwie umoczył łyżkę w zupie kminkowej, gdy rozległ się dźwięk telefonu. Zdyszany głos Boba brzmiał niezwykle tajemniczo.

- Czytałeś gazetę?

- Nie.

- To zajrzyj. Pierwsza strona. Cześć.

Jupiter wziął do ręki "Los Angeles Sun". Nagłówek brzmiał dość groźnie: *Kto zabił Stana Morrisona?* - I dalej: *Dziś rano sekretarka Lucy Cregg znalazła ciało swego szefa na podłodze gabinetu, z raną w plecach. Morrison od trzech lat sprawował funkcję dyrektora Spółki Budowlanej w Rocky Beach. W kręgach zainteresowanych od jakiegoś czasu mówiło się, że firma znajduje się na progu bankructwa...*

- Co mnie obchodzi jakiś budowlaniec? - głośno zdziwił się Jupe. - O co Andrewsowi chodziło?

Wuj Tytus odłożył łyżkę.

- Po pierwsze, nie czyta się przy jedzeniu. A po drugie... jeśli już... trzeba dojechać do końca.

Jupiter Jones odkładał gazetę, gdy nagle zelektryzowało go jedno słowo: brylanty.

- O kurczę! Jednak coś jest! No tak! Obok głowy nieboszczyka Morrisona, na podłodze, walały się dwa spore brylanty!

Dwie godziny później cała trójka ładowała się do starego forda.

- Jedziemy do tej firmy. Może coś wywęszymy stwierdził Bob. - Co nam szkodzi?

Gmach Spółki Budowlanej mieścił się na końcu nadbrzeża, tuż obok straży pożarnej. Niestety, wejścia pilnowała policja, a raczej jej pojedynczy przedstawiciel, konstabl George Lawson.

- Cześć, George! - Jupiter Jones posłał mu ciepły uśmiech. Znali się od dawna.

- Nie wpuszczę was - mruknął, przybierając groźną minę - Mat Wilson zrobiłby mi z

głowy popielniczkę.

- W porządku - łagodził Bob. - Proszę nam tylko powiedzieć, o co tu naprawdę chodzi.

- Tego jeszcze nikt nie wie. Morrison to znana figura. Jego firma budowała supermarkety. Ostatnio im nie szło. Wpadli w długi, kontrahenci nie chcieli już dostarczać zamówionych materiałów...

- Nie płacili? - westchnął Pete, przyglądając się szarej ścianie, na której kwitło dziwne czerwone graffiti.

- No. Tak mówią.

Z budynku wyszedł sierżant Mat Wilson w towarzystwie młodej, zapłakanej dziewczyny.

- Co oni tu robią? - spytał, obrzucając Jupitera niechętnym spojrzeniem. - Mówiłem, że nikomu nie wolno wchodzić!

- My nie wchodzimy! - obruszył się Bob. - Chcemy tylko pomóc.

- Już ja was znam, wścibscy detektywi z Bożej łaski! - warknął Mat, naciągając na czoło przepocony kapelusz. - Aż panią porozmawiamy na komisariacie! Nic tu więcej po nas! Trzej Detektywi zostali na chodniku.

- Dawno go nie widziałem takiego wkurzonego! - zdziwił się Pete. - Pewnie nie ma, biedak, żadnej koncepcji.

- Ciotka Matylda twierdzi, że nadmiar piwa rozpuścił mu rozum.

- To co robimy? - Bob od jakiegoś czasu obserwował spod rzęs czarnowłosego mężczyznę, przyklejonego do rachitycznego drzewa po przeciwległej stronie ulicy. - Chyba mamy towarzystwo. Pete, nie odwracaj głowy. Jupe, ten, który stoi wpatrzony w okna budynku, jest... Chińczykiem.

- I co z tego? - Pierwszy Detektyw dyskretnie zerknął we wskazanym kierunku. - Co piąty Amerykanin jest Chińczykiem. Mało ich tu mieszka?

- Ale on ma w ręku puszkę z farbą. A na murze jest świeże graffiti - dorzucił Pete. - Po co zasmarował ścianę chińskimi znakami?

- Bo nie zna angielskiego. Tak myślę.

Chińczyk odlepił się od drzewa i ruszył truchtem w dół ulicy.

- Jedziemy za nim! - krzyknął Jupiter. - Do wozu, detektywi! Coś mi mówi, że facet ma jakiś związek z firmą budowlaną.

Mężczyzna biegł chodnikiem, nie przeczuwając, że jadące tuż obok auto go śledzi. Trwało to niezbyt długo. Czarnowłosa, szczupła i dość żyłasty Chińczyk skręcił w boczną

ulicę, przebiegł kilkanaście metrów i zniknął w barze.

Ford zatrzymał się niedaleko.

- Wsiadamy! - Pete był pełen entuzjazmu. Działo się coś ciekawego, a on nie lubił bezruchu.

- Tylko spokojnie - mitygował Pierwszy Detektyw. - To jest chiński bar sałatkowy. Lubicie bambusa z kurczakiem i sosem Bun?

- Jasne! - ucieszył się Bob. - Uwielbiam chińską kuchnię. Tylko nie mam forszy.

- To wypijesz colę. Wszędzie ją mają. Nawet w chińskich barach.

Wnętrze było ciasne. Za śmieszoną zasłoną z długich sznurów koralików, które dźwięczały cichutko, gdy się je rozgarniało dłonią, ciągnęła się cynkowa lada. Stała za nią blada dziewczyna o skośnych oczach i długich czarnych włosach, ubrana w dzinsy i niebieską bluzę. Przy stolikach siedziało parę osób rozmawiających przyciszonymi głosami.

- Widzisz dziewczynę? - wychrypiał Jupiter Jones, pocierając spocony nos.

- Widzę, Chinka! - odparł Pete, bacznie rozglądając się na boki. Zadziwiające było to, że po wejściu chłopców wszystkie rozmowy umilkły. Bar przypominał teraz wnętrze muzeum figur woskowych.

- Do złudzenia przypomina nieboszczkę spod krzaka. Bob wyduł wargi.

- Dla nas wszyscy Chińczycy wyglądają jednakowo, zapewne my dla nich również.

- Co dla panów? - spytała dziewczyna z uśmiechem.

- Coś do picia. Zimnego - powiedział Pete, przyglądając się jej twarzy, może nieco zbyt natarczywie.

- Może... Dzog-du?

- Lepiej coca-colę! - wymruczał Bob.

Skinęła głową. Popijali zimny napój, szukając wzrokiem tego, za którym przyszli. Ale się nie pokazał. Coś wszelako działo się na zapleczu, bo spoza koralikowej kurtyny dochodziły podniesione głosy.

Dziewczyna była wyraźnie niespokojna. Chłopcy pili colę, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. I wtedy to się stało, jednocześnie, no prawie jednocześnie, do baru wszedł wysoki, dość tęgi blondyn w roboczym kombinezonie, a zza zasłony wyskoczył ów obserwowany Chińczyk, z puszką farby w ręku. Rozegrała się scena jak z gangsterskiego filmu: biały chwycił Chińczyka za poły kurtki, wrzeszcząc: - Hun-Wei, zabiję cię! Dalsze słowa zamarły mu na ustach, gdy struga czerwonej farby chlusnęła prosto w jego twarz. W jednej sekundzie blondyn zmienił wygląd: sprawiał wrażenie unurzanego we krwi. Jednocześnie od stolików zerwali się pozostali bywalcy baru, próbując odciągnąć właściciela

puszki. Ten wrzeszczał coś po chińsku, rzucając się i najwyraźniej nie chcąc ustąpić.

Pete bez namysłu chwycił blondyna i wraz z nim wytoczył się z baru, Bob rzucił na ladę pieniądze i skoczył za przyjacielem. Tylko flegmatyczny Jupiter Jones uważnie obserwował sytuację. Zapamiętał, że człowiek z farbą nazywa się Hun-Wei. Wyszedł wolnym krokiem na ulicę, uśmiechając się pod nosem na widok swoich przyjaciół, którzy bezskutecznie próbowali zetrzeć czerwień z twarzy histeryzującego blondyna. Minutę później facet zaczął przychodzić do siebie, klnąc niczym szewc.

- Proszę pana - odezwał się spokojnie Jupiter - możemy zawieźć pana na policję. Tam złożymy meldunek o tym, co się stało. W końcu byliśmy świadkami zajścia.

W mężczyznę jakby piorun strzelił.

- Żadnej policji! - wychrypiał. Jedno oko miał zalepione farbą, drugie lśniło niczym damasceńska stał. - Żadnej policji! Ale dopadnę drania!

- Tego Chińczyka? - spytał Bob. - Dlaczego?

- Bo on zabił pana Morrisona!

Cała trójka aż zamarła z wrażenia. Pierwszy oprzytomniał Jupiter Jones. Przybrudzoną chusteczką łagodnie wycierał okolicę lewego oka blondyna.

- Proszę się przez chwilę nie ruszać. Już dobrze. Nic panu nie będzie. A farbę trzeba zmyć...

Blondyn wciąż mamrotał przekleństwa, ale przynajmniej przestał się rzucać.

- To on zabił pana Morrisona! - powtórzył z mocą.

Bob kopnął kamyk. Miał nieprzeniknioną minę człowieka, który zdaje się rozumieć trudne sprawy tego świata.

- Ale to bez sensu. Jakiś Chińczyk, który na dodatek nie mówi po angielsku, zabija szefa wielkiej budowlanej korporacji?

Blondyn przyszedł już całkiem do siebie. Całe szczęście, że nie miał lusterka. Na widok własnej twarzy wpadłby ponownie we wściekłość. Przypominał dorodnego muchomora.

- Co was to obchodzi, chłopcy? - warknął niezbyt uprzejmie. - Nie wiecie, kim jest Hun-Wei i ta jego...

- Kto? - spytał ciepło Pete. - Dziewczyna?

- Nazywa się Jun-Dzi. I miesza w głowach normalnym ludziom. No, na mnie już czas. Ale przysięgam, że go dopadnę! Zanim detektywi się zorientowali, zniknął za rogiem.

- Gonimy go? - Crenshaw był wyraźnie nieusatysfakcjonowany.

- Po co? - mruknął Jupe. - W taki upał? Wiemy, gdzie go szukać.

- Skąd wiemy? - Bob poprawiał okulary. Palce wciąż miał umazane czerwoną farbą.

Pierwszy Detektyw westchnął głęboko. W jego oczach zalśniły ogniki.

- Widziałeś, jak był ubrany?

- W kombinezon - Bob lekko wzruszył ramionami.

- Właśnie! - przyklasnął Jupe. - W ciemnozielony kombinezon. A co miał na plecach?

Pete ruszył w stronę samochodu. Zniecierpliwiły go dociekania Jupitera. Jakoś tak się składało, że nie dysponował zdolnościami analitycznymi.

- Nie nudź, Jupe!

- Pytam tylko, co zaobserwowaliście na plecach blondyna?

Bob zmarszczył brwi. Przyjął wyzwanie.

- Jakiś napis. Trzy duże białe litery: BBC.

- Skrót nazwy firmy budowlanej. Facet jest pracownikiem Building Beach Company.

To najważniejsza ze spółek nieboszczyka Morrisona.

Stary ford zapalił z trudem. Ruszyli Bay City w górę, z powrotem pod budynek, który nie tak dawno opuścili. Tym razem nie było policji. Wejścia nikt nie strzegł.

- Co robimy? - Bob ssał miętówkę.

- Wchodzimy. Weź swój notes. Trzeba wysondować sekretarkę. O ile, naturalnie, wróciła już z komendy.

- Jak znam Mata Wilsona - roześmiał się Pete - to ją puścił po dwóch minutach. Mat uwielbia robić groźne miny i na tym się kończy. Zwyczajny łaps z armatą na zębach!

- Nie umie dedukować! - Bob chwycił gruby notes, w którym wszystko zapisywał.

Weszli do przestronnego holu wyłożonego namiastką szarego marmuru. W boksie portiera nie było nikogo. Dwie bezszelestne windy stały otworem.

- Dobra. Pete zostaje tu i obserwuje wejście. Bob ze mną na górę. Z tablicy wynika, że gabinet Morrisona jest na szóstym piętrze.

Pete, żując gumę, oparł się o ścianę między windami. Dla dobra sprawy mógł tak tkwić do końca świata, a nawet dwa dni dłużej.

Jupiter Jones nacisnął czerwony guzik z wrytą szóstką. Kabina drgnęła i ruszyła. Powietrze pachniało kurzem i ostrą, niezbyt drogą wodą kolońską.

- Jakaś baba jechała - burknął Bob, marszcząc nos. Nie lubił rzeczy w złym gatunku. Tego nauczyła go mama. Może nie całkiem potrzebnie.

Na szóstym piętrze obaj ruszyli korytarzem. Wszystkie drzwi zrobiono z litego drewna, były szczelnie zamknięte. Widniały na nich tabliczki z nazwiskami.

Bob chciał zapukać do sekretariatu Morrisona, ale Jupiter chwycił go za rękę.

- Nie! Zostań tutaj. Nie zamknę drzwi, więc uważnie podsłuchuj. I wszystko dobrze zapamiętaj.

Andrews skinął głową. W takich sytuacjach zawsze bez szemrania wykonywał polecenia Pierwszego Detektywa.

Jupiter Jones wszedł do środka. Zobaczył biurko, chyba z czarnego szkła, i krzesło obleczone szorstką wełną, na stelażu z chromowanych rurek. Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia były otwarte. Jupiter poczuł, że się poci. Odetchnął dwa razy pełną piersią i zaczął się skradać. Od razu wiedział, że postąpił słusznie. Wzrok jego niespiesznie przesuwał się po eleganckim mahoniowym biurku, przypominającym wielkością trzydrzwiową szafę, z rzędem kolorowych telefonów, po fotelach wyściełanych czarną skórą i dywanie, w którym grzęzły stopy. Ten dywan, a raczej to, co wystawało spod biurka, sprawiło, że zaschło mu w ustach. Rozszerzonymi źrenicami dostrzegł rozplaszczone ciało i parę kobiecych nóg w cienkich pończochach i czarnych pantofelkach na wysokich obcasach.

- Boże! - wrzasnął. - Nowy trup!

Jego krzyk zwabił Boba. Ale nieruchome dotąd nogi drgnęły i wyprostowały się, a wraz z nimi reszta kobiecego ciała. Wyłaząc spod biurka, dziewczyna łupnęła się zdrowo w głowę.

- Kto to? Dlaczego wrzeszczałeś? - Bob przyglądał się ładnej blondynce siedzącej na dywanie.

Jupiter Jones czuł, że go opuszczają siły. Trup ożył i patrzył na niego błękitnymi jak niebo oczami.

- Co? Kim jesteście? - wyjąkała dziewczyna.

- My? - zacukał się Bob. - Jesteśmy detektywami. Oto nasza wizytówka - jego dłoń z kartonikiem zawisła w powietrzu.

Jupiter odzyskiwał zmysły.

- Myślałem - wyjąkał - myślałem, że pani nie żyje. Jak Morrison. Dlaczego leżała pani pod biurkiem?

Dziewczyna wstała, poprawiając spódnicę. Machinalnie wzięła podaną wizytówkę.

- Nazywam się Lucy Gregg. Jestem... byłam sekretarką pana Morrisona. Ale wszystko już mówiłam. Na policji.

Bob uśmiechnął się szeroko.

- Sądzi pani, że to wystarczy? Sierżant Mat Wilson sporządził protokół, który pani podpisała?

- No... nie - zaskoczona mrugała długimi, sztywnymi od tuszu rzęsami. - Nie spisał

niczego.

- Może włączył magnetofon? - spytał sarkastycznie Jupe. - Musiałby panią o tym uprzedzić. Tak nakazuje prawo.

Przecząco pokręciła głową. Miała ładną, nieco lalkowatą buzię i wspaniałe nogi.

- Niczego takiego nie pamiętam.

- Widzi pani? - Bob kuł żelazo póki gorące. - Sama policja nie rozwiąże tej zagadki.

- Bez naszej pomocy na pewno nie! - Jupiter Jones wyprężył pierś obciążoną koszulką z numerem pięć, jakie noszą chłopaki z drużyny Rodgersów. Piątka zawsze należała do czołowego napastnika.

- Co chcielibyście wiedzieć?

- Czego pani szukała pod biurkiem - odparł łagodnie Pierwszy Detektyw. zaczerwieniła się po czubki włosów.

- Ja... tego... nie...

- Szukała pani brylantów. Prawda? - Bob przemawiał łagodnie jak do dziecka.

Potrząsnęła głową.

- Rzeczywiście. Myślałam, że może zawieruszył się jakiś kamyk. Nie zamierzałam go przywłaszczyć, ja...

- Wierzimy pani! - uśmiechnął się Jupiter. - Ile kamieni znaleziono przy zwłokach?

- Dwa. Ale pan Morrison miał ich w sejfie o wiele więcej.

- Handlował brylantami?

- Musiał robić interesy, żeby ratować firmę. Był człowiek... miał diamenty przemycane z Południowej Afryki. Trochę słyszałam... był umówiony z szefem na wieczorne spotkanie.

- A rano szef już nie żył. Obok leżały dwa brylanty. To nie były surowe kamienie. Tylko oszlifowane. Potrafi pani opisać, jak wyglądał ten człowiek?

- Szczupły, nieduży, z charakterystycznym nosem. Jakby złamanym. Dobrze ubrany. Był tu już przedtem.

- Sądzi pani, że doszło między nimi do awantury?

- Tego nie wiem. Wyszłam z pracy po piątej. Może nocny portier go pamięta?

Chłopcy wymienili spojrzenia.

- Jak się nazywa portier?

- Grohman. Mieszka w małym domu tuż przy plaży. Na samym końcu River Street.

- Dziękujemy, Lucy. Jest pani świetną sekretarką.

- Która właśnie straciła pracę.

Wychodząc, Jupe przyjrzał się uważnie puszystemu dywanowi. Tuż koło drzwi, trochę z boku, widać było dwa wyraźne ślady obuwia. Wyglądało to tak, jakby ktoś przed wejściem do gabinetu wlaź w rozsypaną mąkę. A potem zatrzymał się.

ROZDZIAŁ 3

CO PAMIĘTAŁ NOCNY PORTIER

Znudzony Pete przysiadł na marmurowej posadzce. Kiedy Bob z Jupiterem zjechali na parter, ziewnął szeroko.

- Już myślałem, że tu przyrosnę. I co?

- Jedziemy na River Street. Do nocnego portiera.

Przed budynkiem Bob zatrzymał się. Uważnie patrzył na graffiti wykonane czerwoną farbą na szarej, kamiennej ścianie.

- Zrobię zdjęcie. Te chińskie litery coś znaczą. To pewne.

Jupiter Jones skinął głową.

- Masz rację. Domyślam się nawet, kto je wymalował. To Hun-Wei. Nie wiem tylko po co.

Pete ładował się do forda.

- Beatrycze przetłumaczy. Ta mała Chinka, która pracuje w biurze turystycznym. Znam ją.

- Znasz wszystkie dziewczyny. Pospiesz się, Bob.

Andrews pstryknął na wszelki wypadek aż dwie klatki. Potem wgramolił się na przednie siedzenie.

River Street była małą, zapuszczoną uliczką gdzieś na końcu świata. Obok ciągnęły się stare doki ze zrujnowanymi budynkami, pomiędzy którymi hulał wiatr i sterty śmieci. Domek, na poły ukryty w krzakach, miał szary dach i przestronny ganek. Gdy na nim stanęli, w jednym z okien ukazała się łysa czaszka z żółtawą, napiętą skórą. Wyglądała jak dobrze naciągnięty bęben zespołu Chiton Club.

- Pan Grohman? - zapytał Jupiter.

- Taaa. I co z tego?

- Jesteśmy detektywami. Oto nasza wizytówka - Bob podskoczył do otwartego okna.

- Chcielibyśmy porozmawiać. O śmierci pana Morrisona.

Żółta czaszka poczerwieniała.

- Ja nic nie wiem! Nic nie wiem!

- Woli pan rozmawiać z sierżantem Wilsonem? - głos Crenshawa brzmiał troską. - Jest wściekły jak wszyscy diabli!

Żółty człowieczek zniknął. Po chwili ukazał się na ganku. Miał cienkie nóżki w

krótkich szortach i poplamioną koszulę. Rozglądał się niepewnie na boki. Bob podsunął mu wizytówkę. Stary nawet nie spojrział. W jego oczach można było wyczytać coś, co mówiło, że miał ochotę skopać komuś tyłek i myślał, że nadarzyła się okazja.

- Wynocha! - wrzasnął. Jego szczeka wystawała do przodu niczym zderzak półciężarówki.

Pete zareagował błyskawicznie. Zanim chudzielec wyciągnął zza pleców kolta wielkości arbuza, już broń leżała bezpiecznie pod schodkami.

- Z bronią na... funkcjonariuszy? - zdumiał się szczerze Bob.

Grohman, tkwiąc w "podwójnym nelsonie", który sprawnie założył mu Pete, powoli się uspokajał. Crenshaw puścił go, schylając się po kolta. Wolał mieć broń po swojej stronie.

- No? - Jupiter Jones spokojnie postąpił krok do przodu.

- Dobra. Powiem. Co wiem.

- To już lepiej - Pete sprawdził, czy colt jest zabezpieczony. Powąchał lufę. - Kiedy pan ostatnio strzelał z tej armaty, panie nocny portierze? - uśmiechnął się nieomal wesoło.

- Nigdy - burknął łysy, ocierając pot. Była to najgorętsza pora dnia. I pełnia kalifornijskiego lata. - Co chcecie wiedzieć?

- Kto jechał windą na szóste piętro wczoraj wieczorem?

- Tylko pan Cole Hatkinson.

Chłopcy wymienili spojrzenia.

- Kim jest pan Hatkinson? - Jupe starał się być uprzejmy.

- Nie wiem. Zawsze tylko podawał nazwisko. Dzwoniłem z dołu do pana Morrisona, pytając, czy mogę wpuścić gościa.

- Pozwalał? - Pete włożył do ust świeżą gumę.

- Tak. Jego zawsze.

- Nikogo już w biurze nie było?

Grohman wzruszył ramionami.

- Pewnie, że nie. Jestem nocnym portierem. W całym budynku było cicho i ciemno. No... nie licząc wrzasków tego Chińczyka.

- Chińczyka? - zdumiał się Bob. - Co w portierni, w nocy, robił Chińczyk?

Grohman obliznął usta. Mimo upału wyglądał, jakby cały był wyschnięty na wiór. Skóra i kości.

- On wrzeszczał na zewnątrz. I ciągle paprał sprayem po ścianach. Był wściekły na pana Morrisona.

- Dlaczego?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie znam chińskiego. To jeden z tych imigrantów, którzy nie mówią po angielsku. Pewnie pracował na budowie. Tak sędzę.

- Dobrze - Jupiter uciął temat. Bardziej go interesował tajemniczy nocny gość. - Wróćmy do Hatkinsona. Wpuścił go pan, facet pojechał na górę i co?

Nocny portier szeroko otworzył oczy.

- I nic.

- Jak to: nic? - zdenerwował się Pete. - Musiał kiedyś zjechać. I wyjść.

- Właśnie! - dorzucił Bob, zapisujący wszystko w grubym notesie.

Stary człowiek zmarszczył czoło. Aż dziw, że znalazło się jeszcze tyle skóry na błyszczącej w słońcu czaszce.

- On nie wyszedł.

Chłopcy aż otworzyli usta.

- Nie wyszedł? Do rana?

- Nie wyszedł - powtórzył portier. Sam wyglądał na zdziwionego. - W każdym razie nie zjechał windą.

- Jest pan tego całkowicie pewien? - mruzczał Jupiter, skubiąc wargę.

- Tak.

- To co się z nim stało? - westchnął Bob. - Wyparował? Bo rano znaleziono tylko ciało Stana Morrisona.

Jupiter Jones myślał gorączkowo.

- Czy pan Hatkinson miał coś ze sobą?

- To znaczy? - okrągłe oczka o mało nie wylazły z orbit.

- Teczkę, plecak, worek... cokolwiek! - wtrącił Pete.

Grohman zamachał rękami.

- Miał teczkę. Czarną, skórzaną. Cienką, przytwierdzoną łańcuszkiem do przegubu dłoni. Tak, pamiętam!

- Dziękujemy - Jupiter Jones dał wzrokiem hasło do odwrotu - bardzo pan nam pomógł.

Zostawili zaszuszonego staruszka na ganku. Sami wsiedli do samochodu. Temperatura w nagrzanym fordzie sięgała piekła.

- I co teraz? Jedźmy na lody! - bąknął Bob.

- Nic z tego - Jupe włączył silnik. Ruszyli z kopyta, by choć trochę wiatru wpadło przez otwarte okna. - Teraz musimy uwieść Polę.

- Polę? Królową sekretarek? - Crenshawowi zabłysły oczy - Z biura koronera?

- Tak. Ty masz na nią swoje sposoby! - w głosie Jupitera brzmiała cicha zawiść.
- Chodziła z nami do szkoły. To wszystko. Nigdy jej nie podrywałem.
- Nieprawda! - zaprotestował Bob, poprawiając szkła ślizgające się na spoconym nosie. - Chodziliście na randki. Nocą, po plaży.

Pete wzruszył ramionami.

- Kiedy to było, Bob? Sto lat temu! Po co ci Pola, Jupe?

- Sprawdzi dla nas, kim jest, lub raczej kim był, Hatkinson. To proste.

Rzeczywiście. To było proste. I wykonalne pod warunkiem, że się znało Polę. Żaden śmiertelnik nie miał dostępu do bazy danych komputerowych koronera.

- Pójdiesz sam. Wszystkiego się dowiesz - rozkazywał Pierwszy Detektyw. - A potem, kiedy upał minie, spotkamy się w Kwaterze Głównej.

- Jeśli nikt jej do tej pory nie puścił z dymem - mruknął Bob. - Powinniśmy dopaść drania, który tego próbował!

- I dopadniemy - skonstratował Jupiter. - Bo ten, kto podpalił, także wyrznął mnie w łeb. A niewykluczone, że również zabrał zwłoki dziewczyny. O ile to był prawdziwy trup.

Pete Crenshaw przyglądał sterczące włosy. Potem przyjrzał się własnym paznokciom. Na szczęście były czyste.

Pola siedziała na obrotowym foteliku, zajadając kanapkę z ogórkiem. Niedopity sok z mango stał obok.

- Cześć, Pola! - Crenshaw przywołał na usta uśmiech numer cztery. Zawsze działał na dziewczyny.

- Crenshaw! - pulchna blondynka o porcelanowej cerze i dużych szarych oczach aż klasnęła w dłonie. - Co cię do mnie sprowadza?

Pete chciał skłamać, ale w porę przypomniał sobie, że dziewczyna natychmiast to odkryje. Pola zawsze wiedziała, kiedy ktoś chce ją poderwać, a kiedy odpisać zadanie z historii Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

- Mam problem detektywistyczny! - cmoknął ją w policzek, co przyjęła z aprobatą. - Ładnie pachniesz.

- Dobrze. O co chodzi?

- O niejakiego Hatkinsona. Facet jest handlarzem diamentów czy też brylantów. Mało się znam na kamieniach. Ale jest, lub był, zamieszany w morderstwo Staną Morrisona.

Pola położyła palec na ustach.

- Ciii... u koronera jest Mat Wilson. Sierżant Wilson - dorzuciła dla jasności.

Kciukiem wskazała szczelnie zamknięte drzwi.

Pete skrzywił wargi. Wcale nie chciał się tu spotkać z Wilsonem. Sierżant, co prawda, czasem korzystał z ich usług, ale w sprawie morderstwa na pewno będzie milczał.

- To co z tym Hatkinsonem? - wyszeptał.

Pola uśmiechnęła się, wyjmując z drukarki długi pasek papieru.

- Właśnie go sprawdzałam dla szefa. Masz kopię, ale spływasz, bo...

Drzwi skrzyknęły. W obramowaniu pojawiła się potężna sylwetka sierżanta. Stał tyłem, kończąc rozmowę z koronerem. To wystarczyło, żeby Pete dał nogę. Na wszelki wypadek nie czekał na windę, tylko zbiegł schodami ewakuacyjnymi. Był zadowolony, że załatwił sprawę.

W Kwaterze Głównej zastał Boba machającego świeżo wywołanymi odbitkami.

- Wiem, co znaczy ten chiński napis! - zawołał, poprawiając wciąż zsuwające się z nosa okulary.

- Co?

- Zemsta. Po prostu: słowo "zemsta"!

Pete wyjął z kieszonki komputerowy wydruk.

- Nie wiem, dlaczego Chińczyk chce zemsty, ale wiem, kim jest... no, może był, Cole Hatkinson.

- Ten z teczką przyklejoną łańcuszkiem do przegubu? - Bob zerknął na kartki.

- Ten sam. Pola dała mi wydruk, z którego...

Jakiś hałas rozległ się na zewnątrz. Jakby coś rąbnęło z całej siły o drewniane drzwi. Potem ktoś jęknął, a drugi głos wrzasnął: - Zabiję cię, draniu!

Obaj chłopcy rzucili się do wyjścia. Tuż obok Kaczora Donalda kotłowało się w kurzu dwoje ludzi: jednym był bez wątpienia Jupiter Jones. Kim był drugi - trudno zgadnąć. Leżał na brzuchu, rozplaszczony jak żaba. Jupiter młócił go pięściami, aż grzmiało.

- Jupe! Idę na pomoc! - ryknął Crenshaw, rzucając się w wir walki. Gdy już obezwładnili leżącego, wykręcając mu ręce, osobnik w kombinezonie odwrócił twarz. Był to nie kto inny, jak ów blondyn poznany w chińskim barze sałatkowym. Ten sam, któremu Hun-Wei spryskał twarz czerwoną farbą.

- Co pan tu robi!?! - wrzasnął Bob.

Mężczyzna zbierał się z trudem. Widać razy wymierzone przez obu detektywów okazały się dotkliwe.

- Tak sobie... szedłem... - wymamrotał.

- Tak sobie? - Jupiter Jones oddychał głęboko. Twarz mu poczerwieniała. Tłuc faceta

w taki upał to nielicze zajęcie dla człowieka z nadwagą. - Napadłeś mnie od tyłu! Gdybym nie znał judo, to...

Pete napiął muskuły. Był z nich najbardziej wysportowany, jego sylwetka sprawiła, że blondyn zmiękł i oklapł.

- Powie pan wreszcie, o co chodzi? Bo nie uwierzę, że szedł pan tu tak sobie. To nie nadmorska promenada! - Bob miał spocone czoło. - Gadaj, człowieku!

- Nazywam się Peter Willis. Ja pracuję...

- W Building Beach Company - odpowiedział Jupiter Jones. - Jest pan jednym z ludzi Morrisona. I twierdzi pan, że szefa zabił Chińczyk o nazwisku Hun-Wei. Czy tak?

Mężczyzna skinął głową.

- Na pewno on. Szef wylał go z pracy. Trzy tygodnie temu.

- Dlaczego?

- Bo ci chińscy imigranci nie chcą pracować! Tylko by leżeli na rusztowaniach i jedli świństwa z zielonych wodorostów.

Bob wzruszył ramionami.

- Czy pan nie przesadza? Uwielbiam chińską kuchnię. A co do Hun-Wei... chyba nie szedł pan do nas, żeby wytropić mordercę szefa?

Willis rozprostowywał ramiona. Dostać się w uścisk Crenshawa to jakby wejść w żelazne tryby. Rozpalone do czerwoności. Nie od parady Pete spędzał całe godziny we wszystkich siłowniach Rocky Beach.

- Szedłem za nią - wykrztusił.

- Za kim? - Bob był czujny.

- Za dziewczyną - odparł ponuro. - Nazywa się Jun-Dzi. I jest Chinką.

Jupiter skubał wargę. Coś mu zaczynało świtać, ale nie za bardzo.

- Zaraz, zaraz - przerwał, unosząc w górę palec. - Co pan mi wspólnego z Jun-Dzi?

- Pewnie się w niej kocha - wzruszył ramionami Bob. - I jest zazdrosny.

Peter Willis poczerwieniał.

- To nie wasza sprawa! - burknął.

- Nie nasza!?! - wrzasnął Jupiter, postępując o krok. Willis cofnął się przestraszony. - To u nas zniknął z trawnika trup młodej kobiety, to u nas jakiś przygłup wzniecił pożar, to mnie walnięto w łeb!

Osilek w kombinezonie miał minę, jakby zobaczył ducha.

- Jaki trup? Jaki pożar? Ja niczego nie zrobiłem! Ja tylko...

- Spokój! - Pete wysunął się do przodu. Też mu się zaczęło układać w głowie. -

Posłuchajcie. To musiało być tak: dziewczyna szła do nas. Do Trzech Detektywów. Z jakąś sprawą...

- Pewnie potrzebowała pomocy - wtrącił Bob.

- Oczywiście - Jupiter Jones przejął pałeczkę. Nie byłby sobą, gdyby pozwolił dedukować innym. - Za nią podążał śledzący ją napastnik. Dał w łeb jej, a potem mnie. Żeby nie mieć świadka. Zabrał ciało, bo nie chciał zostawiać śladów. Widać miał coś jeszcze na sumieniu. Bał się najwyraźniej, że dziewczyna zdradzi nam jakąś tajemnicę. Ale nie zrobił tego Hun-Wei, który lata z puszką czerwonej farby i wszczyną bójki.

- No! Wczoraj pobił trzech robotników - przytaknął Peter Willis. - Mimo że go wyrzucono z pracy, wciąż wraca na budowę. Pisze listy do prefektury, skargi na szefa, zagroził śmiercią panu Morrisonowi. Sam to słyszałem. On go zabił! Hun-Wei!

- Nie sądzę, panie Willis - stwierdził Jupiter Jones. - Może jest szaleńcem, może straszliwie potrzebuje pracy, zarobku, może go ściga Wydział Imigracyjny. Licho wie. Ale nie wierzę, żeby zabił. Nikt o zdrowych zmysłach nie ogłasza tego wszem i wobec. Ani nie wypisuje na murze słowa "zemsta". To tak, jakby oddać głowę pod topór, zanim kat przygotowuje pieniek. Bzdura!

Bob uparcie przecierał szkła. Mętniały od upału i potu.

- Ale gdzie jest dziewczyna?

Peter Willis zacisnął wargi.

- Szła do was. Ja za nią.

- Po co, panie Willis? Proszę wreszcie odpowiedzieć. Mamy dość dowodów, żeby sierżant Mat Wilson się panem zajął.

- Ona mi się podoba. Mówiłem jej to kilka razy. Ale nie chce mnie znać.

- Nikogo nie można zmusić do miłości! - Pete postukał się palcem w czoło. Mimo młodego wieku miał w tym względzie pewne doświadczenia. - Mówił pan z nią po angielsku? Zrozumiała?

- Ona mówi. Z błędami, ale zupełnie zrozumiale.

- Gdzieś pracuje? W Building Beach Company?

- Nie. W tym barze sałatkowym, gdzie razem byliśmy. Już nie podaje. Ukrywa się przede mną.

Pete miał go szczerze dosyć. Nienawidził nachalnych prostaków, którym się wydaje, że każda spódniczka jest do wzięcia.

- Coś panu poradzę, panie Willis. Niech pan zostawi dziewczynę w spokoju. Za napastowanie można posiedzieć trzy lata w Quentin. To całkiem porządne więzienie o

zaostrzonym rygorze. A nasz sierżant jest wyjątkowym psem na takie sprawy.

- Chyba na mnie nie doniesiecie? - w oczach osiłka błysnęło przerażenie.

- Nic nie powiemy tylko wtedy, gdy pan przestanie łązić za dziewczyną. Uprzedzam, będziemy mieli pana na oku. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Od dziś śledzimy każdy pański krok, Willis. Czy to jasne?

Oczy blondyna błyszczały szczerą nienawiścią. Był bardziej prymitywny, niż sądzono. Zrobił w tył zwrot i pochylony do przodu niczym szarżujący byk, zniknął za rogiem.

Jupiter Jones odczekał minutę, a potem powiedział w przestrzeń:

- Możesz już wyjść, Jun-Dzi. Wiem, że siedzisz w krzakach!

ROZDZIAŁ 4

CO OPOWIEDZIAŁA LU-NAM?

Bob odwrócił się zaskoczony. Tak samo postąpił Pete. Wpatrywali się szeroko otwartymi oczyma w poruszające się delikatne i bardzo gęste gałązki, obsypane różowym puchem.

Dziewczyna, która wyszła z gęstwiny, była młodą Chinką w czarnych jedwabnych spodniach i białej bluzie do kolan. Miała bardzo długie krucze włosy i skośne oczy błyszczące przerażeniem. Kłaniała się, nisko pochylając tułów i, widać ze strachu, nie potrafiła wykrztusić słowa.

- Ty jesteś Jun-Dzi, przyjaciółka Hun-Wei? - spytał łagodnie Jupe. Starał się mówić wolno, dokładnie wymawiając słowa.

Dziewczyna przecząco pokręciła głową. Nagle z jej oczu trysnęły łzy, zalewając twarz.

- Nie być Jun-Dzi. Być jej siostra Lu-Nam. Ten okropny człowiek myśleć, że ja Jun-Dzi. My podobne. On iść za mną. Ja uciekać... do was - wyraźnie wyczerpana długą przemową umilkła, Wycierając dłonią łzy.

- A gdzie jest... - Jupiter Jones umilkł nagle, kładąc palec na Ustach. Pete i Bob natychmiast zrozumieli. W milczeniu skoczyli jeden na prawo, drugi na lewo. Obiegli Kwaterę Główną, co trwało parę minut. Pierwszy zameldował się Bob.

- Nikogo nie widziałem! - wychrypiął zdyszany.

Pete penetrował teren nieco dłużej, ale i on wrócił z ni czym.

- Jeśli nas ktoś podsłuchiwał, to na pewno nie Peter Willis. Ale na przyszłość trzeba się jednak postarać o lepsze zabezpieczenie Kwatery Głównej.

Bob skinął głową.

- Ja się tym zajmę. Pogadam z ojcem. Założymy system alarmowy. Elektroniczny.

Jupiter Jones uśmiechnął się krzywo.

- Takie czasy. Wejdzmy do środka, Lu-Nam. Musisz nam parę spraw wyjaśnić.

Dziewczyna złożyła obie dłonie, nisko się kłaniając. Upał nie robił na niej wrażenia. Twarz miała świeżą, włosy suche, czego nie można było powiedzieć o Pierwszym Detektywie, zwanym w dzieciństwie "Małym Tłuscioszkiem".

- Teraz powiedz - prosił, gdy dziewczyna przycupnęła na fotelu - gdzie jest twoja siostra?

- Ona zniknąć. Nie wrócić do domu.
- Kiedy? - Pete pił colę prosto z puszki.
- Trzy dni temu. Ona iść do was. I potem... - umilkła przestraszona.

Bob poczuł, że za chwilę zemdleje. Z tego upału i straszliwego podejrzenia, jakie przeleciało mu przez mózg.

- Jupe, czy to...- zaczęła i umilkła, widząc surowy wzrok Pierwszego Detektywa.
- Jak była ubrana? - spytał szybko.
- W dzinsy. I niebieską bluzę. Na nogach miała czarne aksamitne pantofle bez obcasów.

Jupiter Jones ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Spojrzał na Crenshawa. Ten na Boba. Tak ubrany był ów tajemniczy "trup", który potem zniknął spod Kwatery Głównej.

- Dlaczego szła do nas? - zapytał Bob, oblizując wargi. Też się pocił jak hipopotam.

Lu-Nam uśmiechnęła się. Zęby miała drobne i ostre jak pirania. Nie był to uśmiech ciepły. Jupiter przypomniał sobie powiedzonko wuja Tytusa: "Nie ma nic groźniejszego od śmiejącego się Azjaty".

- Wszystko przez Hun-Wei. Jej chłopaka - mówiła wolno, starannie dobierając słowa.
- On przybył nielegalnie z Chin. Nie potrafił się, jak to mówić...?
- Nie umiał się zaadaptować w obcym kraju? - pospieszył z pomocą Bob.
- Tak. Jest gwałtowny. Być straszny zabijaka, ale bardzo, bardzo kochać moja siostra. Chcąc dla niej wszystko... pieniądze szybko. Samochód, dom bogaty.

- Stan Morrison wyrzucił go z pracy?

Dziewczyna rzucała ukradkowe spojrzenia. Z braku pewności czy też z chęci ukrycia czegoś. Tak to odbierali detektywi.

- Robotnicy go nie lubić. Majster Willis też. Mówiłam: zabijaka. A potem, to... on widział, kto... - zacukała się, machając dłońmi. Robiła wrażenie ciężko przerażonej.

Pete aż otworzył usta.

- Chcesz powiedzieć, że widział mordercę swojego szefa?

Chinka skinęła głową.

- Tak. On też tam być. Jak nie wiem. Jedna męczyzna zabić druga. I uciec. On to widział. I się bać policja.

Jupiter Jones najszybciej ochłonął z wrażenia. Bob i Pete wciąż z napięciem słuchali mówiącej.

- To by wyjaśniło wiele. Ale nic w sprawie zabójcy.

Lu-Nam spojrzała oczyma pełnymi łez.

- Moja siostra iść tutaj. Znaleźć wasza kartka z adresem i z tym, że wy “badać wszystko”.

- To skutek rozrzucenia naszych wizytówek w najgęściej zaludnionych dzielnicach Rocky Beach! - ucieszył się Bob. - Moje dzieło!

- Ona woleć was od policja. Ten gruby być wściekły na nielegalnych. On... - urwała zacisnąwszy wargi.

- Mat Wilson? To biurokrata bez cienia fantazji! - prychnął Crenshaw. - Każdy woli ludzi myślących. Takich jak my!

Jupiter Jones uniósł dłoń.

- Jest tak: - powiedział z ponurą miną - ty wrócisz do dom u zostawiwszy swój dokładny adres - zwrócił się do dziewczyny. - My będziemy szukać twojej siostry. Czy wiesz coś więcej, gdzie i kiedy Hun-Wei widział mordercę pana Morrisona?

- On nie mówił. Wam też nie. Prędzej umrzeć.

- Jasne - Pete wzruszył ramionami - znam takich. Wolą przypiekanie na różnie niż wyznanie prawdy. Choć osobiście wierzę, że nie zabił swego szefa. Ale widział mordercę. Wie także, jak i dlaczego to się stało. Boi się, że go deportują do Chin.

Lu-Nam zatrzepotała rzęsami.

- Większość bać się deportacji, ale ja i moja siostra mieć zielona karta. My tu legalnie. Nasz bar także.

- To wiele wyjaśnia. Choć ciągle nie wiemy, dlaczego zniknęła Jun-Dzi. - Jupiter specjalnie użył słowa “zniknęła”. Za nic w świecie nie zdradziłby przedwcześnie sprawy “trupa”. - Co wiesz o Peterze Willisie? Tym, który tu za tobą szedł?

- On mnie wziąć za moja siostra. Ja się schować. Jest zły. Myśli, że mu wszystko wolno. Nie wolno!

Pete skinął głową. Był tego samego zdania.

- Ale powiedz, czy Willis wiedział o twoim istnieniu? To znaczy, że jesteś siostrą Jun-Dzi? To bardzo ważne.

Chinka potrząsnęła głową.

- Nie wiedzieć. Ja być przeważnie w kuchni. W barze, na zapleczu. Tak się to nazywa?

- Tak. Wiesz, dlaczego to takie ważne? - Jupiter Jones znów przejął pałeczkę.

- Nie.

- Bo to znaczy, że ON NIE ZABIŁ... to jest, nie porwał twojej siostry! - poprawił się szybko. - Inaczej by dziś nie szedł za tobą. Wiedziałyby, gdzie jest. Rozumiesz?

Potrząsnęła głową,

- Nie bardzo, ale wy ją znaleźć? My nie mamy dużych pieniędzy. Ale wy zawsze możecie się pożywić w naszym barze. Zawsze. Do końca świata! - uśmiechnęła się, ukazując ząbki. Teraz już nie wyglądała jak wygłodniała pirania. Miała coś miękkiego w układzie ust.

- Przyjmujemy propozycję - zgodził się Bob. - Bardzo lubię chińską kuchnię. I umiem jeść pałeczkami.

- Pete - zwrócił się Jupiter do Drugiego Detektywa. - Sprawdź, co się dzieje na zewnątrz. I odprowadź Lu-Nam aż do domu.

Chinka zatrzepotała dłońmi.

- Ja pójść sama. Nie bać się.

Pierwszy Detektyw był nieugięty.

- On pójdzie za tobą. Tak, że nawet tego nie zauważysz. Chodzi nie tylko o twoje bezpieczeństwo, lecz o obserwację. A nie ma lepszego w tych sprawach od Pete'a Crenshawa!

Kiedy zostali sami, Bob oparł się o komputer.

- Rozumiesz coś z tego, Juve? Bo ja za chińskiego Boga!

- Daliśmy się zaskoczyć. Bob - wymruczał Pierwszy Detektyw, grzebiąc w lodówce - a jak powiedział kiedyś generał Eisenhower: "Można zostać zwyciężonym, nigdy jednak nie należy dać się zaskoczyć".

Wieczorem, ku zdumieniu detektywów, zadzwonił sierżant Mat Wilson z posterunku w Rocky Beach. Bob aż zeszywniał ze słuchawką przy uchu.

- Co za zaszczyt - wyszemrał. - Pan sierżant...

- Zamknij się! - huknął potężny bas po drugiej stronie. - Nie mam czasu na głupoty! Ona u was była?

- Kto? - zdumienie w głosie Andrews'a było nie do podrobienia.

- Chinka! Przecież mówię wyraźnie. Nazywa się Jun-Dzi czy jakoś tak...

Jupiter Jones przejął słuchawkę. Trzeba było umieć rozmawiać z sierżantem Wilsonem. Bob był zbyt uległy, zbyt dobrze wychowany, delikatny.

- Tu Jupiter Jones - powiedział grobowym głosem. - Jun-Dzi nie zawitała do nas. Coś jeszcze?

W słuchawce rozległo się głośnie sapanie pełne irytacji.

- Ty mi nie podskakuj, Jones! - warknął Mat. - Wiem, że u was była! Posterunkowy Lawson szedł za nią aż do waszego... pożałujcie Boże, baraku.

- W naszym, pożałujcie Boże, baraku była niejaka Lu-Nam. Przyszła nas zaprosić do

swego baru sałatkowego. Jeśli posterunkowy Lawson nie rozróżnia Chinek, to...

- Zamknij się! - Wilson prawie zawył. - Cholery można dostać z tymi nielegalnymi imigrantami! Ja to bym...

- Lepiej niech pan zamilknie - powiedział słodko Jupe. - Konstytucja Stanów Zjednoczonych Ameryki... - nie dokończył. Po drugiej stronie Mat z trzaskiem odłożył słuchawkę.

- Policja też szuka dziewczyny. Jak myślisz, dlaczego?

Jupiter Jones westchnął. Stan lodówki był przedzawałowy. Jeśli ciotka Matylda się nie zlituje, to... przyjdzie umrzeć z głodu i pragnienia.

- Bo przesłuchanie tego osiłka z puszką czerwonej farby nic im nie dało. Nawet jeśli zatrudnili tłumacza. Ale warto się dowiedzieć od posterunkowego Lawsons jakichś szczegółów, co?

Bob skinął głową.

- Wiemy niewiele: trup w krzakach, twoja, Jupe, rozbita głowa, trup znika, zostawiając brylant w trawie, ktoś morduje Stana Morrisona, rozrzucając brylanty po dywanie gabinetu, nocny gość z teczuszką przytwierdzoną łańcuszkiem do przegubu znika bez śladu, co potwierdza nocny portier. "Nasz" brylant wyparowuje z dziury w ramie rowerowej, szalony chiński robotnik smaruje po całym mieście czerwone znaki oznaczające słowo "zemsta", bo wywalił go z pracy Morrison. Od dziś wiemy jeszcze, że trup ma siostrę i że facet ze sprayem, o dźwięcznym imieniu Hun-Wei, był na miejscu zbrodni. I najprawdopodobniej widział mordercę.

- Bardzo ładnie, Bob! - Pete naprawdę się ucieszył. - Tak sprawnie to udokumentowałeś! Wszedłem zupełnie przez was niezauważony. Odstawiłem Chinę. Nic się nie wydarzyło.

Jupiter Jones zmarszczył brwi.

- Dzięki, Pete. Proponuję następujące działania: Bob wyciągnie, co się da, od posterunkowego George'a Lawsons. Weźmie ze sobą puszkę holenderskiego piwa. On je uwielbia. Chcę wiedzieć, co policja ukrywa, a czego nie jest świadoma. Pete i ja spenetrujemy jeszcze raz budynek Building Beach Company. Może znajdziemy jakieś inne wyjście z tego giganta. Skoro Hatkinson nie zjechał windą, musiał się ulotnić inną drogą. Tak samo Hun-Wei. O ile, oczywiście, naprawdę tam był w czasie morderstwa. Bo przecież nocny portier w ogóle go nie widział. Ani jak wchodził, ani jak wychodził.

- Mógł znaleźć się w budynku w czasie godzin pracy. Razem z innymi petentami.

- Ten wariat wrzeszczący i pryskający sprayem po murach i ludziach? Sądzisz, że

dzienny portier by go nie zatrzymał?

- Nas nie zatrzymał - wtrącił Crenshaw. - Ale dobrze by go było spytać.

- Oczywiście! - ucieszył się Bob. - Zapomnieliśmy o nim. Mam nadzieję, że uprzedzimy policję.

Jupiter Jones zaśmiał się cicho.

- Tylko uważaj, Bob. Nie napatocz się gdzieś na Mata. Dopóki trwa śledztwo, jest wściekły jak wszyscy diabli!

Następnego ranka Bob Andrews zaopatrzony w dwie puszkę holenderskiego "Grolscha" ukrył się na skwerze na wprost posterunku policji. Przez dziesięć minut nic się nie działo. Wreszcie z budynku wyszedł Mat. Na jego niebieskiej koszuli widać było ciemne ślady potu. Temperatura powietrza dochodziła do stu stopni w skali Fahrenheita. Mat wsiadł do radiowozu i ruszył z kopyta. Bob, poprawiwszy okulary, spokojnym krokiem skierował się do wejścia. Posterunkowy Lawson siedział z nogami na biurku, opędzając się gazetą od natrętnej muchy.

- Dzień dobry - powiedział grzecznie Bob. - Czy jest pan sierżant?

George z westchnieniem otworzył lewe oko.

- Wyjechał. O co chodzi?

Bob wyciągnął puszkę z piwem. George otworzył drugie oko.

- Może miałby pan ochotę? Na taki upał... Lawson, niczego nie podejrzewając, pociągnął "Grolscha" z miną człowieka absolutnie szczęśliwego.

- Czego chciałeś od Mata? To jest... sierżanta?

Bob postawił drugą puszkę na biurku. Leciutko popchnął ją palcem.

- Widzi pan... mam mały problem, jest w mieście taki zwariowany Chińczyk. Lata z puszką sprayu i maluje jakieś znaki na murach. Ostatnio pobrudził nam całe drzwi. My nie wiemy, co robić...

Lawson wrzucił pustą puszkę do kosza. Zawiesił wzrok na drugiej.

- To... dla mnie?

- Tak. Jeśli ma pan ochotę. Mój tato uwielbia holenderskie piwo. Ja nie pijam żadnego alkoholu.

- Mówisz: Chińczyk? Wiem! To straszny idiota. Przesłuchiwaliliśmy go z Matem i tłumaczką. Wrzeszczy, że wylano go z pracy, napisał całą stertę skarg do swego byłego szefa, prasy i mera. Skarży się na rasizm, nieuwzględnianie praw człowieka. Mówił, że pozabija wszystkich tak, jak zabił Staną Morrisona...

Bob o mało nie spadł z krzesła.

- Zeznał, że zabił szefa? Jak?

Lawson kończył drugą puszkę.

- Właśnie. Dureń. Zeznał, że zabił go za pomocą ciosu dłoni. Jakaś chińska sztuczka.

Ale to nieprawda.

- Dlaczego? - Bob miał oczy wielkości deserowych talerzyków. - Sądzi pan, że nie miał tyle siły?

George Lawson zdjął nogi z biurka. Przeciągnął się i spojrzał w sufit.

- Bo Stan Morrison zginął od ciosu... nożem sprężynowym!

W ciszy, jaka zapadła, słychać było lot muchy.

- Nie może być! - wyszeptał nabożnie Andrews. - Nożem sprężynowym? Znaleźliście ten nóż?

George Lawson przecząco pokręcił głową.

- W tym cały sęk. Lekarz sądowy wydał taki werdykt: ostre narzędzie. Prosto w serce.

- Kto więc go zabił? Policjant rozłożył dłonie.

- Śledztwo trwa. Jeśli się z nim nie uporamy w ciągu dwóch, trzech dni, to... - zawahał się - to koroner odda sprawę tym łapsom z Santa Monica. Oni tam mają Wydział Zabójstw. I kupę ludzi plujących z nudów.

- Jasne - Bob wyteżył słuch. Na podjeździe hamowało auto. Pewnie wracał Mat Willson. - To ja uciekam!

Lawson nie odpowiedział. Rzucił do kosza na śmieci drugą puszkę. I dokładnie zagrzebał w papierach. Bądź co bądź był na służbie.

ROZDZIAŁ 5

CO SIĘ WYDARZYŁO W CIEMNOŚCIACH?

Tymczasem Jupiter z Crenshawem hamowali przed Building Beach Company. Z frontonu zmyto już czerwone graffiti, a dzienny portier stał u wejścia.

- Wpuści nas? - denerwował się Pete.

Jupiter Jones swobodnym krokiem podszedł do wejścia. W odróżnieniu od nocnego portiera, starszka o łysej, żółtawej czaszce, ten, dzienny, był postawnym młodzianem o lekko wyłupiastych oczach.

- My do pani Lucy Gregg - skłamał Jupiter gładko. - jesteśmy umówieni na jedenastą.

Byczek bez słowa cofnął się do holu. Wykręcając numer, podniósł słuchawkę. Długo trzymał ją przy uchu.

- Zajęte - powiedział zgrzytliwym głosem, który brzmiał niczym przeciąganie żyłką po szkło.

- Niestety, nie możemy czekać! - uśmiechnął się Jupe. - Czas to pieniądz, pan to wie najlepiej.

Portier zrobił gest, który od biedy mógłby być zaproszeniem do wejścia.

Chłopcy wsiedli do windy i nacisnęli guzik szóstego piętra.

- Naprawdę chcemy zobaczyć się z sekretarką Morrisona? - spytał Pete, żując gumę o smaku migdałów.

- Wypluj to świństwo! - warknął Jupe. - Śmierdzisz, jakbyś połknął cyjanek!

Pete wzruszył ramionami. Znany był ze swojej miłości do przeróżnych "żujek". Winda zatrzymała się bezszelestnie. W korytarzu było cicho, jeśli nie liczyć sprzątaczkii hałasującej szczotkami w małym pomieszczeniu gospodarczym. Na drzwiach zamkniętego na głucho gabinetu Lucy Gregg wisiała kartka z napisem: chwilowo nieczynne.

- No, to biuro Morrisona mamy z głowy! - mruknął Jupe, zatrzymując się nagle. - Nie ma jej!

- Kogo? - Pete zahamował tuż za Pierwszym Detektywem.

- Sprzątaczkii. Zniknęła, nie wychodząc na korytarz.

Pete przyłożył ucho do drzwi, spoza których przed chwilą dochodził hałas. Było cicho jak makiem zasiał. Tylko gdzieś na końcu korytarza skrzypnęły drzwi toalety. Uchyliły się i gwałtownie zamknęły.

- Rzeczywiście. Musi tam być jakieś inne wyjście.

I było. Schowek na wiadra, szczotki i odkurzacze okazał się pomieszczeniem przejściowym. Drugie drzwi, zamknięte na klucz, musiały prowadzić do lewego skrzydła budynku.

- Damy radę otworzyć? - mruknął niepewnie Jupiter Jones.

Pete uśmiechnął się cierpko. Nie miał aż takich skrupułów. W końcu niczego nie kradli ani nie podrzucali. Podłubał drutem, który zawsze nosił w kieszeni. Prymitywny zamek, ze zwykłą zasuwką, puścił po minucie.

- Zrobione!

Jupiter Jones ostrożnie wystawił głowę. Do końca nie wiedział, co jest "po drugiej stronie lustra". Czasem czuł się niczym Alicja w Krainie Czarów.

- W porządku. Schody.

Pete trzymał klamkę.

- Przeciwpozarowe. Wyjście ewakuacyjne. Co robimy?

- Zwiedzamy - Jupiter był dobrej myśli. - Morderca Morrisona mógł znać to przejście. Schody wiodą chyba na dach.

- Może właśnie tędy zeszli na parter. No... Hun-Wei i Hatkinson?

- Niemożliwe - potrząsnął głową Jupiter. - Schody kończą się w holu, na dole. Musiałby ich widzieć portier. Nie zeszli ani nie zjechali.

Skradali się cicho, jakby podskórnie czując, że ktoś ich podgląda. Choć żaden cień nie pojawił się za nimi, Jupe miał nieodparte wrażenie, że czyjeś oczy śledzą każdy ich krok. Budynek miał dziesięć pięter, toteż Pierwszy Detektyw zmęczył się, zanim dotarli na ostatnie.

- Może tu gdzieś są ukryte kamery? - wyszeptał Jupiter, łapiąc z trudem oddech.

Pete zmarszczył brwi. Rozejrzał się uważnie. Sufit i ściany pomalowane na obrzydliwy kolor ochry nie wskazywały, by coś na nich zamontowano.

- Kamera to nie guzik, Jupe - odparł. - Myślę, że przesadzasz z ostrożnością.

Pierwszy Detektyw nie odpowiedział. Wpatrywał się w klapę zamkniętą na solidną antabę.

- Potrafimy ją podnieść?

Pete wypluł gumę. Naprężył mięśnie, wyteżył siły. I nic.

- Trzeba czymś podważyć. Najlepiej łomem.

Jupiter nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Rzeczywiście nosisz ze sobą takie drobiazgi jak łom?

- Coś się znajdzie w tym składziku na szóstym piętrze.

Jupiter westchnął.

- Nie zamierzam dwa razy pokonywać czterech piętér! Jak chcesz, to biegnij.

Pete ruszył z kopyta. Dla niego największą frajdą był ruch. Dużo ruchu. Szybko przygalopował z powrotem. W ręku trzymał dwie szczotki na kijach i metalowego mopa do mycia linoleum.

Jupiter roześmiał się.

- Niezłe uzbrojenie! Szósta Flota na Pacyfiku zamierza podbić Filipiny.

Pete nie obraził się. Szczotki zaraz się połamały, ale mop okazał się niezwykle przydatnym narzędziem. Antaba drgnęła i ustąpiła.

- Szósta Flota zdobyła Filipiny! - zawołał, otwierając klapę.

- Ale...

- Co tam, Pete? - Jupiter Jones przeciskał się z trudem. Wbrew oczekiwaniom kłapa wcale nie prowadziła na dach. Tylko do wąskiej, górą oszklonej galeryjki. Chłopcy stali zaskoczeni.

- Co za głupie pomieszczenie! - szepnął zawiedziony Jupe.

- I nie ma stąd wyjścia?

- Ano, nie ma - odparł Crenshaw - bez sensu. Nagle rozległ się zgrzyt i ciężka kłapa za ich plecami zatrzasnęła się z hukiem. Obrócili się równocześnie, obaj jednakowo zaskoczeni.

- Co to? - wrzasnął Jupe. - Kto się wygłupia? Odpowiedzią była martwa cisza. Pete przyskoczył do kłapy, chcąc ją otworzyć. Niestety. Od środka była płaska i bez żadnego uchwytu. Otwierała się tylko od strony schodów.

- Kto to zrobił? - warknął mrużąc oczy. - Jupe, kto to zrobił?

- Ten, kto nas śledził. I ma coś na sumieniu. Musimy być bardzo blisko prawdy o mordercy, skoro tak się nas boi.

Pete rozejrzał się dookoła. Pomieszczenie, niezbyt obszerne, było na tyle wysokie, że nie groził brak powietrza. I jasne, gdyż szklany dach wpuszczał mnóstwo światła.

- Wyjść stąd będzie można, tylko, gdy stłuczemy którąś z tych szyb. Tam, u góry.

Jupiter Jones podniósł wzrok.

- Ty się może przecisniesz, ale ja? Poza tym jest za wysoko. A drabiny nie mamy. Głupio byłoby siedzieć na szklanym dachu niczym kot.

- Bez paniki, Jupe - mruczał Pete, myszkujejąc po zakurzonych kątach. - Tylko... co to jest? - trzymał w dłoni wąską stalową klingę.

Jupiter Jones doznał olśnienia.

- Pete - powiedział wolno i spokojnie - odłóż to, co trzymasz w ręku. Ostrożnie, by nie zostawić więcej odcisków palców niż te, które już na tym są.

Crenshaw otworzył usta.

- Zwariowałeś? O co...

- Pete, zrób raz to, o co cię proszę, nie pytając. Zaraz ci wyjaśnię.

Metalowy pręt spoczął na stosiku starych desek. Jupiter Jones, pochylony, przyglądał mu się uważnie. Na cienkim niczym igła końcu widoczne były liczne rudawe plamy.

- No, może teraz mi powiesz?

Jupiter przykucnął.

- To jest bagnet, Pete. A te ślady to krew.

Crenshaw rzucił się na kolana.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Tak. To jest najprawdopodobniej narzędzie zbrodni. Ten, kto zasztyletował Morrisona, musiał tu wejść. Tuż przed ucieczką z budynku. Wrzucił bagnet i zamknął kłapę. Sądzę, że to Cole Hatkinson. Handlarz brylantów.

- Ten z teczką na łańcuszku?

- Właśnie.

- A kto nas zamknął?

Jupiter pokiwał głową.

- Jego wspólnik. Musi takiego mieć. Śledzi nas od samego początku. Zabrał trupa z trawnika, ukraść ci brylant ze schowka w rowerze, ponieważ was widział w Centrum Diamentowym. On wie o nas wszystko.

- Tylko my nic o nim nie wiemy.

- Dokładnie. I to mnie wkurza, Pete.

Bob wracał wyraźnie ucieszony. Chciał jak najszybciej pochwalić się pozostałym detektywom wiadomościami uzyskanymi na policji.

- To się zdziwi Juve, gdy mu powiem, że Morrisona zamordowano nożem sprężynowym! W komunikacie prasowym podano tylko, że cios trafił prosto w serce! - mruzczał, wkładając dłoń do dzioba Kaczora Donalda. Oprócz klucza do Kwatery Głównej wyczuł jakąś złożoną na pół kartkę. Wyjął ją i poprawiając okulary, przeczytał półgłosem: - *Zostawcie w spokoju sprawę Morrisona. Nie mieszajcie się do śledztwa. Inaczej grozi wam śmierć.* - Sunął wzrokiem po literach wyciętych z gazetowych nagłówek. Były przyklejone mocnym klejem. - Coś takiego - wyszeptał - no, coś takiego! Zabronić Trzem Detektywom prowadzenia śledztwa, to jakby zakazać mrówkom budowania mrowiska!

Zdegustowany otworzył drzwi. I aż się zatoczył z wrażenia. Na przeciwległej ścianie

zobaczył wymalowany sprayem olbrzymi chiński znak "zemsta".

- To pogwałcenie prywatności człowieka! - wrzasnął w pustkę. - Nikomu nie wolno wchodzić do Kwatery Głównej jak... jak... - zająknął się. - Jak do publicznej toalety! - dokończył cieniutko.

Potem cofnął się, uważnie zamknął drzwi. Klucz razem z kartką schował do kieszeni. A nad zamkiem napisał kredą cyfrę "7".

To był znak alarmowy.

Ciotka Matylda po raz trzeci odgrzewała kolację. Wuj Tytus zjadł dawno, a teraz pykał fajkę, czytając "Los Angeles Sun".

- Gdzie jest Jupiter? - denerwowała się zażywna kobieta.

- Tam, gdzie zawsze - burknął wuj - w swojej Kwaterze Głównej.

- Nie ma go - zabiadoliła, widząc, jak frytki nabierają brunatnego odcienia - telefonowałam trzy razy.

- Spokojnie - wuj szeleścił stronami - czasem znika bez śladu. To duży chłopak.

- Ale zwariowany! - bąknęła ciotka Matylda, zamykając piekarnik. - Będzie jadł zimne!

Podobna rozmowa toczyła się w kuchni państwa Crenshawów, ale i tu nieobecność syna nie wprowadziła nikogo w panikę.

- Pete już taki jest, moja droga - papa Crenshaw sięgnął po melona - oszalały detektyw. Trzeba się z tym pogodzić.

- Nigdy! - mruknęła mama, wachając paczkę herbaty, która powinna pachnieć miętą. - Co za marne produkty sprzedają w tym naszym supermarkecie. Zwietrzała herbata! Jutro zrobię im awanturę!

Tylko Bob Andrews obgryzał paznokcie, co samo w sobie stanowiło ewenement. Bob był niezmiernie wrażliwy na punkcie własnego wyglądu. Koledzy w szkole śmiali się, że mógłby występować w reklamie proszku do prania, pasty do zębów i szamponów przeciw łupieżowi.

- Gdzie jesteście, do diabła? - mrucał, po raz kolejny odkładając słuchawkę. Telefon w Kwaterze Głównej milczał jak zaklęty. W domu też ich nie było. - Coś mi się tu nie podoba! Powinniście zostawić jakąś wiadomość. Choćby znak!

O dziesiątej wieczorem nie wytrzymał. Pomimo gromkich sprzeciwów rodziców

wsiadł na rower, by udać się do gmachu Building Beach Company. To miejsce mieli przecież rano spenetrować obaj detektywi. Nocny portier z trudem dał się wywołać z dyżurki.

- O co chodzi? - burknął. Był jeszcze bardziej zasuszony i zgrzybiały, niż kiedy go odwiedzili w domu.

- O dwóch detektywów, moich kumpli. Weszli do tego budynku rano i dotąd... dotąd z niego nie wyszli!

Portier spojrzął na zegar wiszący w holu.

- Chłopcze, jest dziesiąta trzydzieści! Nikogo tu już nie ma.

- A jeśli coś im się stało? Jak panu Morrisonowi? - Bob walczył z lenistwem i brakiem wyobraźni staruszka.

- To zawiadom policję. Niech ich szukają.

- A... - zająknął się na moment - jeśli policja znajdzie dwa trupy? Pan będzie odpowiadał!

Grohman otworzył usta. Ale żadne słowo nie uleciało spomiędzy sztucznych szczęk.

- Wpuści mnie pan? Chcę tylko pojechać na szóste piętro. Zobaczyć, czy nie zostawili jakichś znaków.

Staruszkowi najwyraźniej znudziło się wysłuchiwanie opowieści Boba. Już chciał zamknąć szklane drzwi, gdy nagle skądś z góry, z dachu, poleciały odłamki szkła, rozpryskując się na chodniku. Bob, korzystając z zamieszania, pchnął ramieniem drzwi i staruszka. Kiedy już był w środku, wrzasnął:

- Widzi pan? Coś się tu dzieje! Ktoś stłukł szybę. A to już pana obciąża!

- Dzwonię na policję! - mruknął Grohman wystraszony. - Ty jedź na górę!

Bob nie dał się dwa razy prosić. Szybkobieżna winda wywiozła go na szóste piętro.

- Szli do Morrisona. Stąd zacznę sprawdzać - mruczał, czując, jak skóra cierpnie mu na plecach.

W budynku panowała kompletna cisza. Podłoga wyłożona linoleum lśniła w świetle palących się lamp. Biuro Staną Morrisona, zamknięte na głucho, wskazywało, że nikt tam nie wchodził. Rozglądając się uważnie, mijał kolejne drzwi prowadzące do innych pomieszczeń. Nagle zmartwiał. Zatrzymał się w pół kroku. Kilka razy głęboko odetchnął i dopiero potem przykucnął.

- Tak! - krzyknął, aż echo poszło pustym korytarzem. - Byli tu!

Na białym lakierze, tuż pod klamką, widniała jak byk, narysowana zieloną kredką, "siódemka". Ich znak ostrzegawczy.

Bob westchnął głęboko. Nie miał w zwyczaju mówić głośno do siebie, ale tak mu się

w tej chwili lepiej myślało.

- Zielona kredka. Znak Pete'a. Wchodzę.

Skrzypnęły drzwi do pomieszczenia gospodarczego. Panował tu zdecydowanie większy bałagan, niż to było konieczne. Dwa przewrócone wiadra, z których wyciekła odrobina brudnej wody. A w szarej, mokrej plamie wyraźny odcisk adidasa. To Pete! Ma ścięte ze starości obcasy. I mało wyraźne rowki na podeszwach. Ślad skierowany do przeciwległych drzwi! Bob, jak rasowy pies zwiadowczy, prawie sunął nosem nad podłogą. Są wiadra, nie ma szczotek. Wzięli je ze sobą? Po co? Nie ma też śladów butów Jupitera. Jego stopy są mniejsze! Spróbował otworzyć drzwi na wprost. Podały się łatwo. Wszedł na schody ewakuacyjne, uważnie badając stopnie. Nikły ślad mokrego adidasa prowadził w górę. Na ostatnim, dziesiątym piętrze dostrzegł klapę z zasuniętą sztabą. Tu trop się kończył. Wyglądało to tak, jakby na ślad adidasa nałożyły się inne buty. Ale nie sportowe. Raczej sandały o szerokich obcasach. Bob zbliżył się do kłapy. Wydawało mu się, że słyszy hałas. Coś o coś waliło. Szarpnął żelazną wajchę. Ani drgnęła.

- Hej, jest tam kto? - wrzasnął z całych sił. - Tu Bob!

Za płytą zapanowała cisza.

- Trzeci Detektyw? - głos brzmiał głucho i dochodził jakby z wnętrza studni.

- Ja! Co się stało?

- Ktoś nas zamknął. Na razie udało nam się tylko stłuc szklaną szybkę z dachu.

Wezwij pomoc.

Bob usłyszał hałas na schodach. Wychylił się przez poręcz, by zobaczyć zdyszanego nocnego portiera, za którym biegło trzech członków straży pożarnej miasta Rocky Beach.

- Tu są! - wrzasnął Bob. - Ktoś ich zamknął!

Przez następne dwadzieścia minut szczęśliwi i zmęczeni detektywi odpowiadali na niezbyt inteligentne pytania strażaków.

- Wiecie, kto was zamknął? - człowiek w kasku był zadowolony, że sikawki i drabiny czerwonego wozu okazały się zbyteczne.

- Skądże! - wzruszył ramionami Pete.

- A co tam robiliście? - staruszek Grohman nie dawał za wygraną. - Przez was straciłem pół godziny, by się dodzwonić na komisariat.

- Pewnie Mat Wilson chrapie w swoim łóżku! - warknął Jupiter Jones. - Lawsons też nie było?

Strażacy nie mieli najlepszego mniemania o miejskiej policji. Może dzięki temu przestali się dopytywać o szczegóły. Nie lubili być wzywani do zdejmowania papug z drzew w

przydomowych ogródkach lub wyciągania spasionych kotów z rur kanalizacyjnych. Dzisiejsze wyzwolenie dwóch chłopaków z pułapki miało, bądź co bądź, większy ciężar gatunkowy.

- Mój ojciec napisze o was w "Los Angeles Sun" - Bob wyciągnął dłoń. - Jest reporterem. Strażak pokiwał głową.

- Dobra, chłopaki, walcie do domu. A pan, panie Grohman, niech na przyszłość wzywa ślusarza zamiast strażaków. Choć trzeba przyznać, że do nas było najbliżej. Jesteśmy sąsiadami.

Trzej Detektywi opuszczali Building Beach Company w nie najlepszych nastrojach. Bob spokojnie relacjonował sposób swego dotarcia do uwięzionych.

- Gdyby Pete nie wlaźł w kałużę, nigdy bym się nie domyślił, gdzie jesteście! - kończył.

- A znak znalazłeś bez trudu? - spytał Jupiter, zapalając silnik starego forda.

- Tak. Tym bardziej że pół godziny wcześniej zostawiłem swoją "siódmkę" na drzwiach Kwatery Głównej.

- Coś się stało? - mruknął Pete, wyciągając zza pleców jakiś przedmiot owinięty w szmatę.

- Tak. Dostaliśmy pocztę. Była w dziobie Kaczora Donalda. A w środku, na ścianie, jest wymalowany sprayem chiński znak. Co tam masz, Pete?

Drugi Detektyw wysiadał przy furtce własnego domu.

- To? To jest, panie Andrews, najprawdopodobniej narzędzie zbrodni!

- Nóż sprężynowy - wyjąkał Bob. - Larson powiedział, że Morrison został zamordowany nożem.

- Nie. Policja się myli - powiedział Jupiter. - To jest bagnet, którym zamordowano Morrisona. Tak sądzę.

ROZDZIAŁ 6

HUN- WEI SPRZEDAJE SKRADZIONY BRYLANT

- Przyjrzyjcie się uważnie - powiedział Jupiter Jones, gdy następnego dnia weszli do Kwatery Głównej.

- Chiński znak, "zemsta" - wzruszył ramionami Pete. - Ten zwariowany Hun-Wei musiał zaobserwować, gdzie trzymamy klucz. Wszedł w czasie naszej nieobecności i namazał to ku przestrodze. A potem zostawił list.

Bob podejrzliwie obwąchiwał ścianę.

- Hun-Wei nie mówi po angielsku. Nie umiałby wyciąć liter z gazety i nakleić na papierze. To po pierwsze. A po drugie...

Jupiter Jones kichnął jak z armaty.

- A po drugie - dodał szybko - znak namalowano innym sprayem. I zrobił to ktoś inny. Farba na ścianie ma amarantowy odcień. Bardziej błyszczący. Bob, daj zdjęcie, które zrobiłeś.

- To z fasady Building Beach Company?

- Tak. Widzicie? Znak wyraźnie malował ktoś inny.

Pete całe życie był sceptykiem. Jedno mażnięcie bardziej w prawo czy w lewo nie miało najmniejszego znaczenia. Sam pisał niczym kura pazurem i chyba nigdy nie słyszał o kaligrafii.

- Bzdura. Takie esy floresy raz wychodzą prosto, a raz krzywo.

Bob przecząco kręcił głową.

- Dużo ostatnio czytałem o chińskim piśmie. Tam każde najmniejsze zgrubienie linii coś oznacza. Myślę, że Jupe ma rację. To charakter pisma innej osoby.

Pete ziewnął. Przez tę wczorajszą aferę spał o wiele za krótko. W domu usłyszał reprimendę, że wraca w środku nocy. Nie przyznał się do grożącego mu niebezpieczeństwa. Bez słowa zjadł spóźnioną kolację i solennie obiecał poprawę.

Bob uparcie walczył z ciężkim biurkiem.

- Co robisz?

- Chcę to zamalować. Mamy puszkę białej farby kryjącej. Ten znak mnie deprymuje. Czuję, jakby mnie popędzał, a jednocześnie mówił: "jesteś tak głupi, że nigdy niczego nie rozszyfrujesz!"

Jupiter chciał zaprotestować, ale właśnie zadzwonił telefon. Jupe stał pochylony, ze

sluchawką przy uchu, nie odzywając się ani słowem.

- Kto to? - Pete w zakamarkach szukał szerokiego pędzla malarskiego. Też chciał, by chiński znak zniknął na zawsze z ich ściany.

- Nie wiem. Jakiś dziwny głos twierdzi, że policja złapała Hun-Wei, który usiłował sprzedać brylant paserowi. Prosi nas o pomoc.

Bob otworzył puszkę. Farba nieco zgęstniała i potrzebny był rozpuszczalnik.

- No, to jedziemy! Ciekawe, czy Mat Wilson wreszcie dopuści nas do śledztwa.

Jupiter Jones potrząsnął tajemniczym przedmiotem owiniętym w szmatę.

- Dopuści. Jeśli mu pokażemy bagnet ze śladami krwi. Będzie musiał przeprowadzić ekspertyzę. Nie wiemy przecież, jaką grupę krwi miał denat Morrison.

Bob bez przekonania mieszał farbę.

- I Mat, i Lawson sądzą, że zbrodnię popełniono przy pomocy noża sprężynowego. Takiego zwykłego, kupionego byle gdzie.

Wyszli, zamykając drzwi. Klucz powędrował do dzioba Kaczora. Wszystko miało wrócić do normy. Ten ktoś, kto namalował "zemstę", dostanie się do środka i bez klucza. Jeśli bardzo będzie tego chciał.

- Zapominasz, że od czterech lat nie wolno sprzedawać sprężynówek w supermarketach ani, jak mówisz, "byle gdzie". A poza tym - ford znów nie chciał zapalić - lekarz, który przeprowadzał sekcję zwłok, powiedział: "denata zabito ostrym narzędziem". Widać policja zna tylko jedno - nóż sprężynowy!

Na posterunku, oprócz przesłuchujących i przesłuchiwanego wraz z tłumaczką, kłębiła się spora grupa dziennikarzy. Wilson z czerwoną, spoconą twarzą wrzeszczał na rozhisteryzowanego Chińczyka:

- Skąd wziąłeś brylant?

- On mówi, że zabrał brylant z ręki Morrisona, kiedy zabił go kantem dłoni. Mówi, że leżały rozsypane na dywanie. Chciał je sprzedać, by uciec na Filipiny - młoda dziewczyna z Instytutu Sinologii przekładała słowo po słowie. - Mówi, że tu nikt nie da mu pracy. A on ma narzeczoną, której obiecał dom z basenem.

Mat ocierał czoło z potu.

W całym zamieszaniu, upale i braku jakiejkolwiek koordynacji śledztwa, tudzież ochrony sennego zazwyczaj posterunku, nietrudno było Trzem Detektywom dotrzeć do wnętrza pomieszczenia, gdzie rozgrywały się powyższe sceny.

- Panie sierżancie - głos Jupitera ginął w potoku pytań rzucanych przez dziennikarzy. - Panie sierżancie...

Na Mata Wilsona nie było siły. Pracował jak w transie. Obecność prasy tylko wzmagała jego podniecenie.

- Jak mogłeś zabić Morrisona ciosem karate, skoro zginął od noża? Masz sprężynówkę, co?

Na moment zapadła grobowa cisza.

- Morrisona nie zabito nożem, tylko tym oto bagnetem! - wrzasnął Jupiter Jones. - Tu są ślady krwi. Trzeba je zbadać. Bagnet znaleźliśmy na ostatnim piętrze Building Beach Company. Niestety, na rękojeści będą również odciski palców Crenshawa. Złapał ten przedmiot bezwiednie i...

Twarz Mata Wilsona nabierała koloru dojrzałego pomidora. Wpatrywał się w kawał stali niczym wąż w sparaliżowanego strachem królika.

- Co mi tu... kto was wpuścił na posterunek?! - wrzasnął, aż zatrzęsły się szyby. - Lawson! Wyrzucić wszystkich!

Fotograf z "Los Angeles Sun" pospiesznie błyskał fleszem.

- Nie ma pan prawa nas wypraszać! - wołała reporterka miejscowego pisemka. - Szczególnie, gdy pojawiają się nowe okoliczności śledztwa. Zostaliśmy tu wszyscy wezwani telefonicznie. Mamy więc prawo...

Mat oddychał niczym bokser po pierwszej rundzie. Wyglądał jak facet szukający czwartego kanału TV na kuchence mikrofalowej.

- Nikogo nie wzywałem! Żadnej prasy! Żadnych zdjęć! To przesłuchanie, a nie konferencja dla mediów!

- Ale ktoś nas telefonicznie powiadomił. W pańskim imieniu - upierała się reporterka. - Inaczej by nas tu nie było!

- Do nas też dzwoniło - Bob poprawiał zsuwające się z nosa okulary. - I niech pan da wiarę Trzem Detektywom. To nie pierwsza nasza sprawa.

- I nie ostatnia - dorzucił Pete. - Bagnet ma wyraźne ślady krwi. Jeśli pan nie odda go do ekspertyzy, oskarżymy posterunek o zacieranie dowodów rzeczowych.

Atmosfera w komisariacie gęstniała. Przy temperaturze stu stopni Fahrenheita tylko Hun-Wei czuł się jak ryba w wodzie. Widać w Chinach, gdzie uprzednio mieszkał, taki żar i zaduch nie były niczym nadzwyczajnym. Na widok bagnetu umilkł, przetykając ślinę.

Mat wyciągnął ciężką piegowatą łapę.

- Ostrożnie, sierzancie! - jęknął Bob. - Odciski palców!

George Lawson szybko przechwycił niechciany podarunek. Ostrożnie umieścił go w foliowej torebce.

- Zaraz zawiozę do ekspertyzy! - obecność dziennikarzy dodała mu odwagi. - Może znajdą się odciski palców mordercy?

Potężny Mat Wilson nagle oklapł, jak przekłuty balon. Z jękiem zwałił się na krzesło.

- To nie do wytrzymania! Pismaki, dzieciaki i taki upał! Wszyscy precz! Chińczyk także! Wynocha!

Hun-Wei nie czekał. Nie rozumiał angielszczyzny, ale bezbłędnie pojął, co oznacza paluch wymierzony w drzwi. Dziennikarze też przenieśli swoje zainteresowanie na Trzech Detektywów. Bob, wykorzystując sytuację, z uśmiechem rozdawał wizytówki.

- Gdzie znaleźliście bagnet?

- Kto jest mordercą?

- Czyje to brylanty?

Pytania sypały się niczym grad. Jupiter Jones z wypiętą piersią szczyrzył zęby.

- Właśnie to wszystko badamy. Według mnie... to znaczy nas... - poprawił się szybko - przebieg morderstwa był następujący: do Staną Morrisona, którego firma popadła w długi, zgłosił się znajomy handlarz kamieni szlachetnych, niejaki Cole Hatkinson. Brylanty były trefne, prawdopodobnie z przemytu. Morrison miał zaś swoje powiązania z firmą Namura, filią w Santa Monica...

- Filia czego? - dopytywała się rudowłosa dziewczyna z miejscowej prasy.

- W San Francisco znajduje się Centrala Handlu Diamentami. Filia w Santa Monica ma, a raczej miała, jakieś powiązania handlowe ze spółką budowlaną Morrisona - ciągnął Jupiter Jones. - Sądzę, że chciał opchnąć trefne kamienie za pół ceny, a uzyskanymi pieniędzmi opłacić swoich wierzycieli.

- A co ma do tego Chińczyk?

- Hun-Wei był jednym z robotników na budowie. Nielegalnym imigrantem. Morrison z dnia na dzień wyrzucił go z pracy. Od tego czasu Hun-Wei ściga Morrisona. Maluje na ścianach chiński znak oznaczający zemstę. Na dodatek, być może, powtarzam: być może, był świadkiem zabójstwa. Opowieści o ciosie karate są wysrane z palca. Chińczyk ma narzeczoną, której za wszelką cenę chce zaimponować. Ale nie on jest mordercą. Mat Wilson się myli.

- A kto? - spytał reporter z "Los Angeles Sun".

- Ba, żebym to wiedział! - westchnął Jupiter, rozkładając dłonie.

- Dlaczego nic nie wspomniałeś o naszym "osobistym trupie", który zniknął? Ani o brylancie z dziury w rowerowej ramie? - dopytywał się Pete, zmierzając w kierunku

chińskiego baru sałatkowego w dolnej części miasta. - Toż to pyszne kąski dla oszalałych reporterów.

Jupiter Jones zamyślił się.

- Ponieważ jeszcze nie wiemy, jak się te sprawy łączą: zniknięcie Jun-Dzi, a także Cole'a Hatkinsona. I czy brylant z naszego roweru jest tym samym, który chciał przehandlować Hun-Wei? I skąd go wziął? Coś mi się tu nie zgadza.

- I dlatego idziemy porozmawiać z Lu-Nam?

- Dlatego. Ona jest najbardziej rzeczową osobą pod słońcem. A poza tym, może ma jakieś wieści o zaginionej siostrze?

W barze sałatkowym było prawie pusto. Za kontuarem stał ten sam wąsaty Chińczyk. Dwóch klientów jadło pałeczkami kolorowe dania z maleńkich miseczek. Pomimo upału panowała tu miła atmosfera. Może na skutek elektrycznego wiatraka obracającego się pod sufitem lub zapachów dalekowschodniej kuchni.

- Co dla panów? - wąsacz miał uśmiech starego Buddy. Zamówili sałatki z krabów, awokado i sosu sojowego. Do tego zimną lemoniadę z limonek.

- Czy zastaliśmy Lu-Nam? - spytał Jupe.

Chińczyk zmarszczył brwi.

- Jestem tu! - dziewczyna stanęła, rozgarniając koralikową zasłonę. - W porządku - rzuciła w kierunku wąsacza. - To moi przyjaciele.

Jedli, aż im się uszy trzęsły. Pete z przyjemnością przyglądał się dziewczynie. Miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, długie, proste czarne włosy z grzywką i smoliste oczy pod skośną fałdą powiek. Jupe bardzo chciał wylizać miseczkę, ale się zawstydził własnego łakomstwa.

- Czy wiesz, że Hun-Wei był dziś przesłuchiwany na policji?

Jej oczy zmatowiały.

- Nie. Kiedy?

- Pół godziny temu! - rzucił Bob. - Byliśmy tam. Na posterunku.

Dziewczyna przesunęła dłonią po włosach.

- Biedny Hun-Wei. Na pewno go deportować. Awanturuje się, maluje sprayem ściany.

- Nam też wymalował. W środku! - rzucił od niechcienia Jupe.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- To znaczy... wszedł pod waszą nieobecność? Skąd wiedział, gdzie jest klucz?

Jupiter Jones zmrużył oczy.

- To nieważne. Przyszliśmy, by zapytać cię, czy nie miałaś jakiegóż wiadomości od

siostry?

- Od Jun-Dzi? Nie. Nie miałam. Martwię się, czy jeszcze żyje!

Pete uśmiechnął się szeroko.

- Trzeba wierzyć.

Wyszli na upalną ulicę, marząc o morskiej kąpieli.

- Co nam dała ta wizyta? - zgrzytał Bob. - Nic!

- Ależ dała, dała! - mruzczał Jupiter, ocierając czoło. - Trzeba było tylko uważniej słuchać!

- Co masz na myśli? - zdziwił się Pete.

- A to, że nasza Chinka raz mówi po angielsku źle, a raz dobrze. Czasem zapomina, że postanowiła udawać. To jej: "ja wiedzieć", "na pewno go deportować" i tak dalej. Kiedy się zapomina, mówi nie tylko gramatycznie, ale i ze znakomitym akcentem. I jeszcze coś...

- Co? - wykrzyknęli razem.

- Powiedziała, że nic nie wie o przesłuchaniu Hun-Wei. A on tam był.

- Gdzie?

- Za zasłoną. Koralki wcale nie są tak szczelne. Widziałem go. Przemknął na zaplecze kuchenne.

Chłopcy usiedli na ławce. Obok lodziarz sprzedawał czekoladowe kule zamrożone do nieprzytomności, jedno spojrzenie, wygrzebane z kieszeni monety, i już wspaniały chłód spływał przelykiem.

- Chcesz powiedzieć, że Lu-Nam nie jest z nami szczerą? - Pete oblizał palec. - Dlaczego?

- Właśnie? - Bob miał umazany czubek nosa.

- Sam chciałbym wiedzieć! - Jupe wyrzucił patyczek. Po lodach zostało wspomnienie.

- Ale już jej nie wierzę.

Pete podniósł się.

- Jedźmy wreszcie sprawdzić Hatkinsona. Pola dała mi jego adres. Pamiętacie?

Jupiter walnął się dłonią w czoło.

- Jasne! Cole Hatkinson! Facet z teczuszką pełną brylantów, przyczepioną łańcuszkiem do nadgarstka. Po morderstwie zniknął jak kamfora. Gdzie on mieszka, Pete?

Crenshaw wyłuskał kartkę z kieszonki na piersiach.

- To wydruk z komputera Poli. Robiła go dla koronera i Mata Wilsona.

Jupiter pochylił się nad rządkiem liter. Gwizdnął cicho.

- Niezła przeszłość. Słuchajcie: facet jest obecnie oficjalnym przedstawicielem

chińsko-amerykańskiego przedsiębiorstwa Namura...

- To już wiemy! - przerwał Bob. Miał komputerową pamięć. - Filia Centrali Handlu Diamentami z San Francisco.

- Ale nie wiecie, że Cole Hatkinson siedział dwa lata za paserstwo. I kradzież kamieni. Pete pokiwał głową.

- I Centrala zatrudnia byłego złodzieja? Wspaniale!

- To nie Centrala go zatrudnia, tylko jej filia w Santa Monica. Tam też mieszka na stałe.

- A drugi dom ma w Rocky Beach? U nas?

- Na to wygląda. Może tylko wynajmuje jakieś pomieszczenie. Jedziemy?

Bob spojrzął na zegarek.

- Muszę wracać do domu. Po wczorajszej nocy mama założyła mi mały szlaban. Ale spotkajmy się po południu.

Jupiter też wolał wrócić do ciotki Matyldy, zanim, ze złości, zdemoluje im Kwaterę Główną.

- Po południu nie ma sensu. Umówmy się na jutro.

- O dziewiątej rano - skinął głową Pete. - Napraw forda, bo nie mamy forsy na taksówkę.

Rozstali się, ani przypuszczając, że nie miną dwie godziny, a stanie się coś, co wstrząśnie miasteczkiem Rocky Beach.

Kolacja upływała w spokoju. Jupiter Jones zjadał bez cienia skargi omlet ze szpinakiem, którego nienawidził serdecznie od dzieciństwa. Domyślał się jednak, że jest to słodka zemsta ciotki Matyldy; zdenerwowana jego nocną eskapadą tylko w ten sposób mogła okazać dorosłemu chłopakowi swoje niezadowolenie.

- Smakowało ci? - spytała serdecznie.

- Tak, ciociu. Było pyszne! - Jupe wyszczerzył zęby w uśmiechu pełnym szczęścia.

- To możesz teraz obejrzeć telewizję. CNN nadaje różne lokalne wiadomości z dreszczykiem.

- Że kot pani Brook znów ogonem zatkał zlewozmywak, który straż pożarna musiała rozkręcać! - westchnął wuj Tytus. - Już ja wolę drzemkę. Cały dzień ciężko pracowałem przy rozładunku złomu - w jego głosie brzmiała nuta nagany.

Jupiter wkułił głowę w ramiona. Miał nieliczne wyrzuty sumienia. Pomoc wujostwu należała do jego podstawowych obowiązków. Ale zaprzątnięty całkowicie sprawami

Chińczyków, brylantów i znikających nieboszczyków zapomniał zupełnie o czekających ciężarówkach i starych meblach.

- Wujku, ja... - więcej nie zdążył. Wiadomość, jaką nadał spiker lokalnej telewizji, wstrząsnęła nim dogłębnie. Z otwartymi ustami chłonał słowa, których treść przekraczała pojemność jego umysłu.

- Dziś w południe znaleziono w chińskiej dzielnicy zwłoki niejakiego Hun-Wei. Chińczyk, były pracownik Spółki Budowlanej Building Beach Company, pracował u zamordowanego niedawno Staną Morrisona. Wyrzucony za wszczynanie bójek i groźby, przyznał się w śledztwie do zamordowania szefa. Jednakże policja wykluczyła go jako sprawcę. Być może Hun-Wei był tylko świadkiem zabójstwa. Ale tego już się nie dowiemy. Ciało Chińczyka znalazła niejaka Lu-Nam, właścicielka baru sałatkowego. Sprawę przejął sierżant Mat Wilson z policji w Rocky Beach. Twierdzi on, że znalezienie zabójcy to kwestia kilku godzin...

Jupiter Jones oblizał suche wargi.

- Kilku godzin? - stęknął, chwytając za słuchawkę. - Pete, zawiadom Boba! Co? Już wie? Zatem jutro o dziewiątej!

ROZDZIAŁ 7

GDZIE SIĘ PODZIAŁ COLE HATKINSON?

- Rozumiesz coś z tego? - wyjęczał Bob, zapinając pas bezpieczeństwa.

- Nic a nic - mruknął Jupe. Miał jeszcze dłonie umazane smarem silnikowym. Dwie godziny pracy nad starym fordem przyniosły rezultat. Grat zapalił od razu.

Pete rozparł się na tylnym siedzeniu.

- Powiadam wam, jeszcze dzionek i z Los Angeles zjadą tu detektywi specjalizujący się w zabójstwach. Burmistrz mówił rano, że nasza policja jest na tropie, ale nie powiedział, dokąd ów tajemniczy trop prowadzi.

- Burmistrz ma sentyment do starego Mata. Wilson całkiem dobrze sobie radzi z miejscowymi bandziorami i złodziejaskami. Potrafi też dopiec piratom drogowym - bąknął Bob. - Ale morderstwa wykraczają poza możliwości jego mózgownicy.

- Co prawda, to prawda - roześmiał się Jupe, zjeżdżając na lokalną drogę prowadzącą wzdłuż wybrzeża. - Jeśli my mamy małe kłopoty ze złożeniem tej układanki, to co dopiero Wilson!

- Na dodatek on nic nie wie o Jun-Dzi ani o "naszym" brylancie.

Droga to wiła się pod górę, to znowu stromo opadała w dół. Po lewej stronie wyskakiwały i znikwały wzgórza porośnięte suchymi jak pieprz ostrokrzewami, zaś po prawej ciągnęły się stare zabudowania nieczynnych zbiorników na ropę. Żelbetowe konstrukcje zżarte przez rdzę bodły błękitne niebo. Wyglądały niczym nieruchome żurawie zamarłe w pół kroku.

- Skręć teraz w wąwóz. Tak. Mała uliczka w lewo. Jest. Ciemnozielona tabliczka, nieco zblakła, głosiła początek Canion Street. Wysiedli, zostawiając wóz w pełnym słońcu. Upał wcale nie zelżał. Powietrze było rozżarzone wydechem z pieca.

- To nie jest dom mieszkalny! - skrzywił się Pete, wkładając na nos ciemne okulary. Marzył o afrykańskim, tropikalnym hełmie z korka. - Jakiś zakład przemysłowy? Skład?

Za ogrodzeniem z metalowej siatki rozciągał się spory teren zastawiony kontenerami i rzędami ogromnych, pomalowanych na niebiesko beczek.

- Trzeba przeleźć przez płot - Pete wspiał się ze zręcznością małpy.

Jupiter Jones gorączkowo szukał normalnej bramy. Nie znosił fizycznego wysiłku. Ale brama, zamknięta na głucho, najeżona ostrymi kolcami z żelaza, spięta była na dodatek grubym łańcuchem z potężną kłódką.

Bob z ukrytym rozbawieniem przyglądał się wysiłkom Pierwszego Detektywa.

- Jupe, musisz przeleźć górą!

- Wiem - mrucał pod nosem Pierwszy Detektyw, bezsensownie szarpiąc kłódkę. -
Może jest gdzieś dziura?

Ale dziury nie było. Chcąc nie chcąc, tłuscioch zaczął się wspinać. Po dziesięciu minutach zasapany, lecz szczęśliwy, wylądował na dachu czerwonego kontenera. Już miał złączyć po podstawionych deskach, gdy coś zatrzymało jego uwagę.

- Cicho! - warknął, z prawą stopą w powietrzu.

Obaj detektywi zadarli głowy.

- Co? - zaszemrał Bob.

- Słyszałem szmer. W środku.

Pete zbliżył się na palcach. Przyłożył ucho do żelaza. Nasłuchiwał.

- Nic. Coś ci się przywidziało, Jupe. Zejdź tędy. Znalazłem drabinę.

Penetracja obszernego terenu zajęła im sporo czasu. Bob niczym pies gończy biegał wśród rzędów jednakowych beczek. Były ogromne, oznakowane żółtymi cyframi na błękitnym tle.

- Nie wiem, co jest w środku. Na pewno nie benzyna. Ani ropa. Zresztą, to byłoby nielegalne.

- Wszystko tu wygląda na nielegalne! - pokiwał głową Crenshaw. - Oprócz worków cementu i stosów pustaków. Może to jeden z magazynów Building Beach Company?

- Zgadza się! - szepnął Jupiter, przylepiając nos do kartki nalepionej na czerwonym kontenerze. - Tu jest stosowny napis:

“Stan Morrison Company”. Dlaczego w komputerze Poli ten poligon budowlany jest równoznaczny z adresem domowym Cole'a Hatkinsona?

Rzędy beczek skończyły się. Po lewej stronie zobaczyli dom campingowy z pełnym wyposażeniem.

- Oto i jego siedziba! Wszystko się zgadza. Canion Street 75. Zatrzymali się niezdecydowani.

-Wchodzimy?

Pete wzruszył ramionami.

- Skoro już dotąd doszliśmy... - urwał, gdyż w jednym z okienek ukazał się cień człowieka. - Na ziemię!

Padli w kurz i resztki rozpylonego cementu. Strzał skierowany był ponad ich głowy. Leżąc usłyszeli tupot nóg i zanim przejrzel na oczy, było po wszystkim. Pierwszy zerwał się

Pete.

- Dlaczego do nas strzelał?

Bob wypluwał z ust chrząszczący cement.

-Tfu! Sprawdź ślady. Czyżby to był Hatkinson?

Jupiter Jones przypominał młynarza. Nawet nie próbował strząsnąć tego świństwa z granatowych dzinsów. W jego głowie pojawiały się i znikwały obrazy, raz już widziane. Gdzie?

- Strzelał chyba z dubeltówki. Broń na niedźwiedzie - zaśmiał się ponuro Pete. - Ale wcale nie chciał nas zabić. Tylko spłoszyć.

- Raczej przestraszyć! - Bob czyścił okulary. Robił to metodycznie, jak zawsze. - A sam zwiął.

Penetracja przyczepy niewiele dała. Z zaduchu sądząc, klimatyzacja nie była tam włączana od tygodni. Jedno, co zainteresowało Andrewsa, to porzucona teczka z rozsypanymi papierami. Zaczął je przeglądać, gdy tymczasem Jupiter z Crenshawem obchodzili teren.

- Coś mi chodzi pogłowie... mam! - Jupe wrzasnął, wałąc się brudną dłonią w spoczone czoło. - Pamiętasz gabinet Morrisona?

- Stary, byłeś tam z Bobem. Ja warowałem na dole.

- Prawda. Lucy Gregg leżała pod biurkiem na dywanie, szukając brylantów. Myślała, że może jakiś się jeszcze zawieruszył...

- I co z tego?

Jupiter jones przykucnął. Na białej warstwie rozsypanego cementu odcisnął się wyraźny ślad stopy. Małej stopy.

- Tam, na tym dywanie, był taki sam ślad. Myślałem, że ktoś rozsypał mąkę.

Pete spojrzał na Pierwszego Detektywa z niemym wyrzutem.

- Nic o tym nie wspomniałeś.

- Bo nie sądziłem, że to może mieć jakieś znaczenie. Zasugerowałem się ogromnym obuwiem Hun-Wei. A tu jest ślad stopy... dziecka!

Pete wyjął z kieszeni miarkę.

- Nie takie to znów dziecko. Ale może być mały Chińczyk.

- Może Chinka? Na przykład Jun-Dzi?

- Przechadzała się po świeżym cemencie? Po własnej śmierci?

- Skąd wiesz, że nie wcześniej?

Pete szerokim gestem wskazał niebo.

- Dwa dni temu, po upalnym dniu, przeszła prawdziwie tropikalna burza. Spójrz. Tu są stare ślady. Inne. Ten cement rozsypało nie dalej jak wczoraj. I ślad jest świeży jak chalki

starej Berty Roles.

Jupiter ssał wargę.

- No tak. Masz rację.

Z przyczepy, niczym diabeł z pudełka, wyskoczył Bob.

- Wiecie, co to jest? - wrzeszczał, machając jakimś wydrukiem.

- Nie. Ale nam powiesz.

Bob przełknął ślinę.

- To jest dowód na tajne konszachty Hatkinsona z Morrisonem. Dokument sprzedaży stuhektarowego terenu na północ od Rocky Beach w zamian za pożyczkę z banku, w którym ma konto Namura!

- Aż sto hektarów ziemi? - potrząsał głową Pete. - Toż to majątek! Można na tym zbudować Manhattan!

- Kiedyś Amerykanie kupili Manhattan od Indian za... dwadzieścia trzy dolary i parę sznurów koralików! - roześmiał się Jupiter. Sprawa nabierała rozmachu. I to takiego, że Pierwszy Detektyw przestraszył się, czy go opanuje. Diamenty, brylanty, hektary, trupy. Czy to nie za wiele naraz?

Bob schował materiały do teczki.

- Ten, kto je wyjął z sejfów, uciekł przed nami.

- Zostawiając takie dowody?

- Może tylko ich część. Jakies papiery zabrał. Nasz przyjazd był dla niego niespodzianką. Strzelił w desperacji.

- To był strzał na pokaz. Nie chciał nas trafić. Spowodował, że padliśmy na ziemię. To mu dało czas na ucieczkę.

Jakiś hałas zabrzmiał od strony kontenerów. Jakby ktoś rzucił kamieniem. Pete podniósł dłoń.

- Spokojnie. Może ma tu współnika. Proponuję się wycofać. Dziś niczego więcej się już nie dowiemy. Za mną! Gęsiego. Pomiędzy beczkami!

- Ale tu ciasno - stękał Jupiter Jones.

- Zacznij się znów odchudzać - Bob przeciskał się sprawnie. - I co, Pete?

- Droga wolna! - Crenshaw stał na dachu czerwonego kontenera. - Chodź, Jupiterze. Czeka cię droga przez mękę.

Jupiter uniósł głowę. Miał włosy tak nastroszone, jakby przed chwilą został poddany elektrowstrząsom.

- Bardzo śmieszne! - zamruczał. - Wracamy.

I to był błąd.

Bob skończył zamalowywanie czerwonego znaku i stał z pędzlem ociekającym białą farbą, gdy do drzwi Kwatery Głównej rozległo się pukanie.

- Ki diabeł o tak późnej porze! - mruknął niezbyt uprzejmie Pete, porzucając pozycję jogi.

- Nie wiem - bąknął Jupiter, wachlując się popołudniowym numerem lokalnego "Chronicle West". Na pierwszej stronie było zdjęcie Trzech Detektywów z konferencji zorganizowanej nieformalnie pod samym nosem policji.

Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Najpierw ukazała się blond grzywa, a za nią reszta drobnej postaci. Detektywi zamarli w szczerym zdumieniu.

- Lucy Gregg? - wybąkał Jupe. - Co za zaszczyt!

- Można? - Błękitne oczy spoglądały pełne lęku. - Przyszłam bo... czytałam o was w gazecie. I...

- I potrzebuje pani pomocy - uśmiechnął się Pete, wskazując jedyny cały fotel. Pozostałym brakowało przeważnie po jednej nodze.

Skinęła głową.

- Ten wasz wywiad... tyle wiecie...

- Co panią do nas sprowadza? Dziewczyna sięgnęła do torebki.

- To.

Bob wziął w dwa palce poślódką kartkę z przyklejonym do niej foliowym woreczkiem.

- Co to jest?

Dziewczyna westchnęła.

- Może zacznę od początku?

- Tak będzie najlepiej - zgodził się Jupiter.

- Dwa dni przed... przed wypadkiem pan Morrison prosił, bym oddała do pralni jego wizytowy garnitur.

Pete zmarszczył brwi.

- To należało do pani obowiązków?

Lucy potrząsnęła włosami.

- Właściwie nie. Byłam pracownicą biurową. Ale pan Morrison nie miał rodziny. To znaczy nikt o niego nie dbał. Więc czasami zajmowałam się również garderobą. Albo poszukiwaniem pomocy domowej. Pan Morrison miał trudny charakter, nikt z nim długo nie

wytrzymawał. Nawet dochodzące sprzątaczk...

- To ciekawe! - bąknął Jupe, mrużąc oczy. - Co dalej?

- Poznałam, dzięki temu, wszystkie agencje w mieście zajmujące się dostarczaniem służących. Ale kiedy pan Morrison zjawił się na przyjęciu w merostwie w poplamionej marynarce, pomyślałam, że...

- Że trzeba ją oddać do pralni, tak?

- Właśnie. Sama zaniiosłam.

- Gdzie mieści się ta pralnia? - wtrącił Bob, notując.

- Niedaleko Building Beach Company. Mała, chińska pralnia. Są najlepsi i najszybsi.

Jupiter Jones podniósł wzrok.

- Czy kiedykolwiek wcześniej oddawała pani cokolwiek do tej pralni?

- Tak. Swój kostium. I sukienki. Zawsze zwracali w terminie, pięknie wyprasowane.

Przynosili na górę. Do sekretariatu.

- I tym razem też przynieśli. Myślę o garniturze pana Morrisona.

- Tak. Ale...

- Było to już po jego śmierci! - dokończył Bob, unosząc w górę czarny długopis, z którym nigdy się nie rozstawał.

- Właśnie - dziewczyna oddychała szybko. - Odwiesiłam marynarkę do szafy w garderobie. Potem o niej zapomniałam. Aż dzisiaj, robiąc porządki, odkryłam to - wskazała dłonią na foliowy woreczek. - Był w kieszeni.

Jupiter Jones delikatnie otworzył opakowanie.

- Widocznie w pralni sprawdzano kieszenie. I znalezione tam przedmioty zapakowano w ten woreczek. Czy tak?

Skinęła głową.

- Oni są bardzo uważni. Czasem nawet znajdują pieniądze. Też zwracają. I chusteczki do nosa, klucze...

Trzej Detektywi pochylili głowy nad drobiazgiem leżącym na biurku.

- Kluczyk od skrytki? W banku? W biurze?

Lucy Gregg potrząsała głową.

- W biurze jest sejf. Ale klucz pan Morrison zawsze trzymał razem z tymi od mieszkania. Wszystkie były w kieszeni, gdy... gdy go rano znalazłam martwego.

- A koroner? Sprawdzał sejf?

- Tak. Komisyjnie. Razem z policją. Teraz klucze są w biurze koronera. I brylanty także. No... te, które znaleziono.

Pete obracał kluczyk w palcach.

- A zatem bank? Tu jest wyryty numer skrytki, trzysta sześćdziesiąt sześć. Tylko jaki bank?

Lucy wzruszyła ramionami.

- Znam tylko jeden: Bank of Sacramento. A raczej jego filię w Rocky Beach. Tam trzymaliśmy pieniądze. To znaczy pan Morrison. Ale...

- Ale to konto jest teraz puste, czy tak? - wtrącił Bob.

- Tak. Od dawna. Niestety.

Pete kręcił się po Kwaterze Głównej, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca.

- Dlaczego pani przyszła do nas, a nie na policję?

Dziewczyna miała spłoszoną minę.

- Ten sierżant był taki... taki nieuprzejmy. W czasie przesłuchania traktował mnie jak złodziejkę!

- Dlaczego?

- Może myślał, że to ja zabiłam. I ukradłam brylanty.

Jupiter Jones starał się być sprawiedliwy.

-Widzi pani, na tym, między innymi, polega śledztwo. Wszyscy są podejrzani. Na początku. A potem się eliminuje.

- Ale ten sierżant... zrobił rewizję. U mnie w domu. Przeszukiwał moje osobiste rzeczy. To takie... upokarzające.

Jupiter pokiwał głową.

- O to nie powinna się pani obrażać. Taka jest procedura. Rozumiem, że niczego nie znaleziono?

- Oczywiście. - Jej oczy pociemniały. - Czy teraz powinnam iść na posterunek?

Pete pochylił się nad dziewczyną.

- Ależ nie! My się wszystkim zajmiemy. Prawda, detektywi?

Bob położył na biurku kartkę. Obok kluczyka.

- Naturalnie. Czy ta kartka też była w kieszeni marynarki?

Lucy wstała.

- Też. I jest to pismo Morrisona. Znam je bardzo dobrze.

Jupiter Jones czytał półgłosem:

- Jutro o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Przygotować kontrakt. Zabezpieczyć się...
Przed czym? Nie wie pani? Dziewczyna zastanowiła się przez moment.

- O dwudziestej trzeciej trzydzieści pan Morrison był prawdopodobnie umówiony z

panem Hatkinsonem. Kontrakt może dotyczyć przejęcia ziemi. Building Beach Company jest właścicielem terenów na północy. Mieliśmy tam stawiać ośrodek sportów. Ale przyszła zapaść finansowa. Pan Morrison wdał się w jakieś nielegalne operacje. Zamiast zarobić, stracił.

- I za wszelką cenę chciał odzyskać pieniądze?

- Tak sędzę. Transakcje z brylantami musiały się źle skończyć - dorzuciła cicho.

- Dlaczego?

- Pan Hatkinson nie był... osobą odpowiedzialną. Zawsze na siebie wrzeszczeli. Aż słyhać było w sekretariacie. Hatkinson chciał jakichś specjalnych zabezpieczeń majątkowych. Ale dokładnie nie wiem jakich. Potem zaczęli umawiać się o takich porach, kiedy w budynku nikogo już nie było. A jeszcze ten zwariowany Chińczyk...

- Hun-Wei? - zainteresował się Bob.

Dziewczyna ruszyła w stronę drzwi.

-Tak. Nachodził biuro, krzyczał i groził pięścią. Nie wiedziałam, czego chce, bo nie mówił po angielsku. Dopiero Peter Willis, majster z budowy, poinformował mnie, że wyrzucił Chińczyka z pracy.

- Jego też ktoś zamordował - powiedział Pete, badawczo przyglądając się twarzy dziewczyny.

Pobladła i aż otworzyła usta.

- Jego... też? Dlaczego? Co miał wspólnego... zaraz, zaraz - potarła dłonią czoło. - Prawda. Willis mówił mi, że on przyznał się do zamordowania szefa. Ale ja w to nie wierzę.

- Dlaczego?

- To był biedny imigrant, który za wiele chciał. Ale morderstwo nic by mu nie dało. Nie miał tego... motywu.

Wyszła chwiejnym krokiem, zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 8

KTO BYŁ NA DACHU BUILDING BEACH COMPANY?

- Wiecie co? - Jupiter odłożył zjedzone do połowy ciastko.

- Wiemy! - zawołali równocześnie. - Będziesz się znowu odchudzał! Już szósty raz w tym roku!

Jupe zacisnął wargi. Od dzieciństwa obżerał się słodyczami. I tak już zostało.

- Bądźcie poważni, dobrze?

- Dobrze - Bob ugodowo podniósł w górę obie dłonie - masz koncept?

Jupe odetchnął głęboko. Starał się nie patrzeć na niedojedzony pączek oblany czekoladą.

- Dwa.

- A nas jest trzech! - roześmiał się Pete. - Któryś będzie uszkodowany! Co wymyśliłeś?

- Są dwie sprawy do wykrycia. Pierwsza - to którądy Hatkinson i Hun-Wei opuścili biuro Morrisona. Na pewno jest jakieś wyjście przez dach, którego nie odkryliśmy.

- Bo daliście się zamknąć. No... nie zdążyliście - Bob próbował ratować nadszarpnięty honor Kwatery Głównej.

- A druga?

- Kluczyk. Tajemniczy kluczyk do jakiegoś sejfów bankowego. Trzeba popytać.

Skinęli głowami. Zawsze rozumieli się w pół słowa. I zawsze to Jupiter Jones wyznaczał zadania.

- Podział ról? - domyślił się Bob.

- Tak. Pete, jako najsprawniejszy, pojedzie windą na ostatnie piętro Building Beach Company i przejrzy dokładnie, raz jeszcze, wszystkie wyjścia. Skoro żaden nie zjechał w dół, a nie mam powodu, by nie wierzyć nocnemu portierowi, musieli uciec górą.

- Dobrze! - ucieszył się Crenshaw. - Wezmę aparat i zrobię zdjęcia do dokumentacji.

- My z Bobem pojedziemy na rekonesans. Trzeba tylko sprawdzić w internecie, ile w Rocky Beach jest banków. Ich adresy, ewentualnie filie... Pete, a po południu, tak czy tak, spotkamy się w Kwaterze. Nawet jeśli nikt niczego nie odkryje.

Pete ruszył rowerem. Miał do pokonania sporą część miasta. Zostawił rower na strzeżonym placu i swobodnym krokiem wszedł do holu wmieszawszy się, dla niepoznaki, w grupę urzędników. W windzie zachowywał się niczym roztargniony petent wertujący

potrzebne papiery. Na dziesiąte piętro dojechał samotnie. Bardzo ostrożnie wyjrzał na schody. Raz mu się wydawało, że słyszy za sobą czyjeś kroki. Nawet się obejrzał.

- Świruję! - roześmiał się półgłosem.

Stanął przed znaną sobie klapą z metalowym uchwytem. Była starannie zamknięta. Teraz całą uwagę skoncentrował na galeryjce okalającej lewe skrzydło budynku. Otoczona barierką, ciągnęła się aż za załom muru. Ostrożnie stawiał stopy. Poruszał się bezszelestnie. To był już teren nieznanym. Galeryjka zakręcała... prowadząc do jednoskrzydłowych drzwi pomalowanych białą farbą. Zapach unoszący się w powietrzu potwierdzał tezę, że farbę położono niedawno. Pete lekko dotknął powierzchni. Była jeszcze nieco lepka.

- Nie należy do szybkoschnących - mruknął sam do siebie. - Po co drzwi malowano? - Stał ze zmarszczonymi brwiami, a pod powiekami przepłynął obraz Boba zamalowującego chińskie graffiti na ścianie Kwatery Głównej. - Czyżby Hun-Wei? - Delikatnie poskrobał szczyrykiem. - Jasne! - Spod białego akrylu wyłonił się fragment czerwonej "zemsty". - Oto niezbity dowód, że Chińczyk tu był. - Zamek nie należał do skomplikowanych. Twardy drut odpowiednio wymodelowany sprawił, że po minucie drzwi stanęły otworem. Pete uchylił je ostrożnie. Wsunął głowę przez szparę i zamarł z zachwytem. Widok był wspaniały: szczyty dachów, park miejski, dalekie nadbrzeża, błękitne morze w zatoce i statki stojące na redzie.

Wyskoczył na dach tak szybko, że o mały włos nie przegapił przedmiotu leżącego tuż przy balustradzie. Schylił się i podniósł.

- Teczka!

Obejrzał ją dokładnie. Prostokątna, z czarnej skóry, ze złożonymi zamkami i resztką łańcuszka. Pete natychmiast przestał zachwycać się widokiem. Przykucnął, próbując otworzyć znalezisko. Nie musiał się specjalnie wysilać. Oba zamki były wyłamane, a wnętrze puste. Pete obmacał podszewkę, sądząc, że może znajdzie drugie dno. Ale niczego takiego nie było. Ani śladu dokumentów, najmniejszej karteczki, a tym bardziej brylantów, już miał zamknąć wieko, gdy dostrzegł srebrne literki: C. H.

- Cole Hatkinson! Oto bezsporny dowód, że tędy uciekałeś! Crenshaw nie popadł jednak w samozadowolenie. Skoro facet uciekł, trzeba sprawdzić, którędy. Wystarczyło przejść po płaskim dachu w lewo, żeby poznać drogę odwrotu: Building Ideach Company łączył się z sąsiednią posesją. Trzeba było tylko zeskoczyć pół metra w dół. Co to dla sportowca! Także nic dla Hun-Wei i mordercy. Zdziwienie chłopca wzbudziła dopiero hałda worków z cementem. Leżała, częściowo zużyta, na niższym z dachów. Zapewne służyła remontowi. W jednym miejscu, prowadzącym ku zejściu na schody, zobaczył ślady dużych stóp. Tu deszcz nie docierał. Były wyraźne.

- Hun-Wei! - Pete aż zaklaskał w dłonie. - Ślady stóp prowadzą do budynku Morrisona. Chińczyk tędy dostał się do środka! Wszedł przez remontowany budynek, zabrudził buty, zostawiając biały ślad na dywanie gabinetu. Ten ślad, który zauważył Jupiter!

Pete wiedział już, jak weszli i wyszli Hun-Wei, Cole Hatkinson i morderca. O ile był trzeci. Zszedł schodami bez poręczy. Dom robił wrażenie pustej skorupy, z której wyszły wszystkie ślimaki. Wspaniały na nocne łowy.

Z teczką pod pachą, przez nikogo nie nagabywany, Pete, pogwizdując, wsiadł na rower.

Nie usłyszał, bo nie mógł, cichego przekleństwa rzuconego przez osobę ukrytą za potężnym pnem.

Jupiter Jones z nonszalancją wszedł do holu Banku Komercyjnego. Sprawdził napisy nad okienkami. Zainterесowało go tylko jedno: depozyty. Urzędniczka miała okrągłą buzię i złote kolczyki sięgające ramion. Jupe pochylił głowę.

- Mam problem. Umarła mi babcia... - dziewczyna zrobiła grzeczną minę pogrzebowej płaczki. - I zostawiła kluczyk od sejfu. Rodzina głowi się, gdzie trzymała biżuterię. Czy to z waszego banku?

Urzędniczka rzuciła okiem.

- Ależ nie. Nasze kluczyki są złote. I ząbkowane. Jak ten...

Jupiter westchnął rozczarowany. To był już szósty bank w mieście. I żaden dotąd nie przyznał się do kluczyka.

- Bardzo dziękujemy za pomoc - wymruczał.

- Teraz ty!

Bob poprawił okulary. Stali przed Bankiem Inwestycyjnym. Szary, kamienny hol przytłaczał. Historia z okienkiem powtórzyła się. W Dziale Depozytów siedział kostyczny chudzielec z latającą grdyką.

- Mam problem - wyszeptał Bob. - Umarł mi dziadek... - urzędnik wytrzeszczył oczy. - I zostawił klucz od sejfu. Rodzina głowi się, gdzie trzymał wszystkie akcje. Czy to z waszego banku?

Chudzielec wydał wargi.

- Nasze kluczyki nie zmieniły się od czasu, gdy Abraham Lincoln został prezydentem - zazgrzytał - wyglądają zupełnie inaczej!

Bob otarł pot z czoła.

- I co? - spytał Jupę.

- I nic. Oni mają klucze prezydenta Lincolna!

Kalifornijski Bank Rolny miał ściany wyłożone białym piaskowcem i Murzyna w okienku depozytowym. Jednym błysnięciem białek nienaganny kasjer zdyskwalifikował numer 366.

- Nie u nas!

Stojący za Jupiterem mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i wymiętej koszuli chuchnął oddechem "wskazującym na spożycie". Przynajmniej paru piw.

- Też mam taki, synu. - Błysnął identycznym kluczykiem, różniącym się jedynie wrytym numerem. - Z przechowalni bagażu na Centralnym Dworcu Autobusowym!

Bob o mało nie uściskał nieznajomego.

- Dzięki! Bardzo nam pan pomógł. Nasza ciocia umarła i my...

Jupiter Jones silnym kuksańcem w plecy zmusił Boba do milczenia.

- Przestań, idioto! Już dość członków rodziny pochowaliśmy! Na dziś starczy!

Centralny Dworzec Autobusowy, pomijając ściany pokryte kolorowymi graffiti, był czysty, nieźle klimatyzowany i o tej porze dnia prawie pusty. No, niezupełnie. Ze stanowiska 106, na którym zatrzymał się Greyhound z Detroit, wysypał się tłum pasażerów objuczonych bagażami. Hala zaludniła się na moment, po czym znów opustoszała. Tylko trzech Murzynów w zielonych kombinezonach zamiatało podłogę. Po chwili nie było na niej ani jednego papierka.

- A jednak Mat Wilson do czegoś się przydaje - roześmiał się Bob, wskazując sprzątaczy - po ostatniej notatce w gazecie o brudach w mieście wydał walkę śmieącym!

- Taaa - Jupiter Jones rozglądał się uważnie - ale morderstwa nie rozwikłał. Za trudny orzech do zgryzienia. Gdzie te skrytki bagażowe?

Bob palcem wskazał napis.

- Tam. Daj kluczyk.

Jupiter potrząsnął głową.

- Zaraz, spokojnie, stary. A jeśli tam jest bomba?

Bob aż otworzył usta.

- Bo... bomba? Dlaczego?

- Bo są idioci, którzy to robią. Trzeba mieć wyobraźnię. Detektyw bez wyobraźni to... - uciął, przyglądając się podejrzliwie dwóm lumpom śpiącym na ławce. - Miej ich na oku.

Andrews wzruszył ramionami.

- Są tak pijani, że nie zrobią nawet kroku. I żaden z nich nie jest Chińczykiem.

- Nieważne! Cole Hatkinson też nie jest Chińczykiem.

Chcąc nie chcąc. Bob zajął stanowisko obserwatora. Jupe wszedł do pomieszczenia, gdzie znajdowały się skrytki. Trzy ściany, od podłogi do wysokości prawie dwóch metrów, pokryte były szarozielonymi szafkami, z których każda, opatrzona czarnym numerem, miała szczelnie dopasowane drzwiczki. Numer 366 był po lewej stronie, tuż przy wyjściu.

- I co z tą bombą? - Bob ciekawie wystawił głowę.

- Nie wiem - przyznał Jupe - chyba przesadziłem. - Jego dłoń z kluczem leciutko drżała. - Raz kozie śmierć, panie Andrews. Albo coś odkryjemy, albo...

Klucz wszedł w zamek jak w masło. Bob wstrzymał oddech. Twarz pokryty mu kropelki potu.

- Jupe, ja...

Drzwiczki otworzyły się bezszmerowo. Nie było błysku, huku ani żadnego hałasu. Prócz dwóch bijących jak oszalałe serc.

- Mam - wyszeptał Jupe zagłębiając dłoń.

- Co?

- Aktówka. Z czarnej skóry... no, imitacji skóry. Może...

Rozległy się kroki. Gdzieś za ścianą.

- Jupe, później! - szcękniętymi zębami Bob. Jeszcze nie całkiem odreagował strach. Spływamy!

Dali susa, o mały włos nie zderzając się z podróżnym, który chciał zostawić bagaż.

- Uff! - jęknął Bob, nie mogąc złapać tchu. - Wystartowaliśmy niczym olimpijczycy na tysiąc pięćset metrów. Przez płotki. - Stanęli, ciężko oddychając. - Zanim otworzyłeś skrytkę, widziałem się już na cmentarzu. No, co jest w środku?

Jupiter popukał się palcem w czoło.

- Chcesz, żebyśmy rozbebeszyli bagaż na oczach całego Rocky Beach? A jeśli znów ktoś nas śledzi?

Bob spuścił głowę.

- Masz rację. Przepraszam. Wyobraźnia powoduje podwyższenie adrenaliny. Jedźmy do Kwatery Głównej. Pete powinien już tam być.

Jupe o mało nie przejechał skrzyżowania na czerwonym świetle.

- Uważaj, stary! - krzyknął Bob. - Nie chcesz chyba, żeby cię z tą aktówką przyłapał Mat Wilson? Roześmiali się i to rozładowało sytuację.

ROZDZIAŁ 9

CO BYŁO W CZARNEJ AKTÓWCE?

Pete rzeczywiście na nich czekał. Zdał relację z własnej wyprawy na dach Building Beach Company. Wspólnie też obejrzeni pustą teczkę z resztką łańcuszka. Jupe ucieszył się z potwierdzenia swoich podejrzeń dotyczących białych śladów na dywanie w gabinecie Morrisona.

- Teraz wiemy, jak wszedł Hun-Wei i którądy uciekł razem z Hatkinsonem.

- Tyle, że Cole Hatkinson wyparował. Nikt o nim nie słyszał od tamtego czasu. Jupe, otworzysz wreszcie nasz łup? - Bob sięgał do lodówki. Chciało mu się pić. Ale wewnątrz było puste. - Myślisz, że ciotka Matylda zlituje się i podeśle trochę coca-coli? Ma przecież swoje układy z właścicielem wytwórni?

Pete ostrożnie badał czarną aktówkę.

- Raz, dwa, trzy! - huknął, pociągając za końcówkę błyskawicznego zamka.

- Cztery! - Bob wypuścił powietrze z płuc. Był naprawdę przerażony. O bombach w skrytkach, pociągach, teczkach naczytał się dość w prasie i internecie.

- Same papiery ucieszył się Jupiter Jones. - I coś jeszcze, aksamitny woreczek!

Drżącymi z emocji palcami rozsupływał jedwabny sznureczek. Błysnęły drobne, lśniące w słońcu kamyki.

- Brylanty! Oszlifowane! zaszemrał Bob.

- Jesteśmy bogaci! - roześmiał się Pete. - Wysyp tu, na tackę.

Dźwięk, jaki wydawała garść drogich kamieni, brzmiał niczym harfa eolska. Niczym chór anielski.

- Szkoda, że nie są nasze - Jupiter sprowadził marzycieli na ziemię. - To tylko dowód w sprawie. Należy do koronera.

Bob pochylił głowę.

- Policzmy je. Komisyjnie. I sporządźmy protokół - powiedział surowo. - Trzej Detektywi muszą być w porządku. Inaczej nici z licencji na prawdziwe Biuro Detektywistyczne.

- A papiery? - Pete przerzucał kartki z nadrukami szacownych banków i notariatów w Rocky Beach i okolicach.

Bob przestał liczyć.

- Pete, później. Na razie zastanówmy się, gdzie najbezpieczniej ukryć kamienie, jest

ich dokładnie dwadzieścia trzy. Podpiszcie tutaj. Obaj. Kartkę włożymy do woreczka. A woreczek...

Coś stuknęło za drzwiami. A potem rozległy się kroki. Chłopcy, nie namyślając się, padli na ziemię. Bob kurczowo tulił do piersi aksamitny woreczek.

- Hej, jest tam kto? - wołanie zbiegło się w czasie z głośnym pukaniem. - Być tam kto?

- To Lu-Nam - szepnął Jupe. - Bob, schowaj zdobycz do lodówki. Tam jest niezjedzony kurczak...

Bob bezszelestnie przesunął się we właściwym kierunku. Schowanie woreczka we wnętrzu upieczonego kurczaka zajęło mu tylko pięć sekund.

- Już! - wychrypiął.

Pete wolnym krokiem szedł do drzwi.

- Jesteśmy - powiedział, otwierając je. Uśmiechał się szeroko, swobodnie. - Tylko wywoływałeś zdjęcia. W naszej ciemni. Czyli w łazience.

Lu-Nam wbiegła drobnym krokiem.

- Przepraszam - jej głos brzmiał słodko - ale muszę was... porozmawiać... dobrze mówię?

- Z wami porozmawiać - poprawił ją Bob. Nie wiedział, co zrobić z zatłuszczonymi palcami. - Tak brzmi poprawnie.

- Nauczyć się angielski. Kiedyś! - Lu-Nam uśmiechała się, ukazując drobne ząbki. - Ja mieć problem.

- Z policją?

Dziewczyna skinęła głową.

- To ja znaleźć zabitego Hun-Wei. Ktoś mu wbił nóż w serce. U nas. Na zapleczu baru sałatkowego, ja myśleć, że to on.

- Kto?

- PeterWillis. Majsterz budowy. On nie mógł znieść, że Hun-Wei opryskał go farbą.

- I z tego powodu zabił?

Chinka kiwała głową.

- Aż jakiego? Biały człowiek nie znieść, że go żółty człowiek znieważa!

Jupiter załamał dłonie.

- W Ameryce są ludzie o różnym kolorze skóry. Może w Chinach zniewaga wymaga krwi. Ale nie w Stanach Zjednoczonych. Tu się nie morduje tylko dlatego, że ktoś kogoś pochłapał farbą. Zresztą, kiedy ostatni raz widzieliśmy Willisa, nie miał już na twarzy

żadnych śladów. Zmył je.

- To za co zabił?

Pete wciąż się uśmiechał. Trochę krzywo.

- Skąd wiesz, że to on?

- Bo widzieć.

Trzej Detektywi zamarli w bezruchu. Bob bezwiednie wycierał kurzy tłuszcz w przód bawełnianej koszulki.

- Widziałaś?

- Jak on uciekać. Z zaplecza. Duży człowiek w zielonym kombinezonie uciekać przez podwórko. Wspiął się po murze. Przeskoczył. A Hun-Wei leżeć w kałuży krwi.

To była rewelacja, której się nie spodziewali.

- Powiedziałaś na policji, że znasz zabójcę?

Dziewczyna spuściła wzrok.

- No... nie.

- Dlaczego? - Jupiter był dociekliwy.

- Bać się policji.

Pete wzruszył ramionami.

- Nie widzę powodu. Przecież mówiłaś, że obie z siostrą macie zieloną kartę - pozwolenie na pracę w Stanach Zjednoczonych. Skinęła głową. Wciąż nie patrzyła nikomu w oczy.

- Chińczyk w Kalifornii dobry, póki coś złego się nie dzieje. Kiedy gotuje, pierze albo sprzedaje. Kiedy widzi nieboszczyka albo, co gorsze, zabójcę... Chińczyk być zły. Nielegalny.

- To bez sensu - westchnął Bob. - w San Francisco Chińczycy są policjantami. Także w San Diego i Sacramento. Mat Wilson powinien znać prawdę. Mógłby zatrzymać Petera Willisa. Przesłuchać. A tak...

- Ja mówić wam. Wy być lepsze detektyw - dziewczyna nisko się skłoniła. - Teraz iść do pracy. Nikt jej nie zatrzymywał.

- Co o tym sądzisz? - Pete robił przysiady. Nie mógł wytrzymać w bezruchu.

Jupiter skubał wargę.

- Nie rozumiem jej postępowania. Albo cos ma na sumieniu, boi się policji, a nas zwyczajnie robi w konia, albo...

- Albo mówi prawdę, co wcale nie ułatwi nam życia - dokończył Bob.

Jupiter Jones w zamyśleniu skinął głową.

- Nie uspokoję się, dopóki nie znajdę Cole'a Hatkinsona.

Pete usiadł po turecku na podłodze.

- Skoro nawet policja go nie znalazła? My przynajmniej wiemy, którędy opuścił budynek po śmierci Morrisona. Dlaczego jednak zniknął bez śladu?

- Może uciekł do innego stanu? W Kalifornii ziemia paliła mu się pod stopami. Albo... przyczaił się w przyczepie pomiędzy beczkami pomalowanymi na niebiesko. - Bob z uwagą przeglądał papiery z czarnej aktówki. - Słuchajcie, tu jest oryginał aktu kupna-sprzedaży tych stu hektarów gruntu!

Pete wstał. Wyręził ramiona, robiąc kilka przysiadów.

- Kto je kupił?

- Namura. Spółka chińsko-amerykańska. Cole Hatkinson podpisał w ich imieniu. Z ramienia Building Beach Company autograf złożył świętej pamięci Stan Morrison.

- Coś jeszcze? - Jupiter wyruszył ramionami. To już wiedzieli.

- Tak. No nie! To nie do wiary!

- Co? Co takiego? - Pete podszedł do biurka. - Co jest nie do wiary?

- Klauzula, która mówi, że w przypadku śmierci Morrisona cała należność zostaje w Spółce Namura! A oni jeszcze nie przelali gotówki!

Trzej Detektywi wyglądali, jakby nagle sufit zwałił się na ich głowy.

- To dlatego! To dlatego musiał zginąć Morrison!

- Na to wygląda! - westchnął Pete. - Padł ofiarą własnej głupoty. Jak mógł się zgodzić na taką klauzulę?

Jupiter kręcił głową z niedowierzaniem.

- Był w sytuacji podbramkowej. Dziś międzybankowy przelew elektroniczny trwa parę sekund. Umówił się z Hatkinsonem tak późno, bo sądził, że w nocy nic nie może mu się przydarzyć. A Hatkinsona znał od dawna.

- Czyżby więc zabił go właśnie Hatkinson? Po to, by odzyskać forszę i jednocześnie zdobyć sto hektarów cholernie drogiej, kalifornijskiej ziemi? To się nawet trzyma kupy.

- Nie bardzo - pokręcił głową Bob. - Facet byłby pierwszym podejrzanym. W każdym razie dla koronera i Wielkiej Ławy Przysięgłych. Przecież w końcu odkryliby powiązania bankowe denata. - Bob z niedowierzaniem wpijał wzrok w papier opatrzony wszystkimi niezbędnymi pieczęciami i podpisami. - Dlaczego zniknął?

Pete sceptycznie wykrzywił lisia.

- Kiedy Mat wreszcie pięknie, znajdą go Federalni. Nawet na końcu świata.

Jupiter marszczył czoło.

- Macie rację. To nie Hatkinson. Może jest facetem pazernym, może chce załatwić sprawę dla swoich diamentowych mocodawców. Ale nie sądzę, by był idiotą! Nie. Morrisona zabił kto inny.

- Nasz oszalały Chińczyk bazgrzący po murach?

- Też nie. Hun-Wei bardzo potrzebował pieniędzy i pracy. To prawda, że zachowywał się jak szaleniec. Ale nie jest... nie był zabójcą. Nie wziął rozsypanych kamieni. Ten, który chciał sprzedać, był nasz.

- Nasz? Myślisz, że ten ze skrytki w rowerze?

- Tak. Mordercą musi być ktoś trzeci. Ktoś, kto nas śledził.

- Mam dość na dzisiaj! - jęknął Bob. - Idę do domu. Radzę wam przespać się. Obejrzeć mecz Dodgersów. Wyluzować się trochę. Jutro rano pomyślimy.

Jupiter Jones też był tego zdania. Musiał pomóc w rozładunku trzech ciężarówek wuja Tytusa. Ciotka już od dawna krzywo patrzy, to się może źle odbić na ich permanentnie pustej lodówce.

- Pewnie znów będzie udziec ze szpinakiem - pomyślał. I miał rację.

Następnego ranka Bob pracowicie wklepywał do komputera wszystkie dane dotyczące śledztwa. Był tak pochłonięty pracą, że nie usłyszał, kiedy wszedł Pierwszy Detektyw.

- Ale upał - poskarżył się Jupe. Bob nie zareagował. Widać nie czuł, że żar leje się z nieba. I wcale nie chciało mu się pić. Co innego Jupiter, który pierwsze swe kroki skierował ku lodówce. Zaskoczyła go jej niezwykła zasobność. - Kto uzupełnił zapasy, Bob?

Andrews oderwał się od klawiatury.

- Co?

- Kto przytargał tu tyle picia? Bob wciąż nie kojarzył.

- Coli?

Jupiter Jones miał dość.

- Bob, oprzytomnij wreszcie! Zadałem ci niezbyt trudne pytanie.

- Jakie?

- Jesteś tu od rana?

- Tak. Od dziewiątej.

Jupe skinął głową. Postanowił pytać wolniej i precyzyjniej.

- Kto jeszcze tu był?

- O co ci chodzi, Jupe? - Andrews wyraźnie nie zdradzał objawów powrotu do normalności. Wciąż jednym okiem zerkał na niebieskawo świecący ekran. - Aha, ciotka

Matylda kazała nam wrócić do przyczepy, ma dość płacenia czynszu za to pomieszczenie. Słyszysz?

- Słyszę, słyszę... O, puszki coca-coli... a gdzie, do wszystkich diabłów, podziała się kura?

Bob jakby zaskoczył. Ale nie całkiem.

- Kura? Jaka kura? Jupe, czy ty od rana musisz myśleć o jedzeniu? - Brzęk puszek wyrzucanych z lodówki na środek pokoju obudziłby z letargu nieboszczyka. Ale Boba tylko leciutko zdziwił. - Co robisz, na Boga?

- Szukam kury! - wycedził przez zęby Pierwszy Detektyw - NASZEJ kury! FASZEROWANEJ!

Bob zerwał się od biurka. Przerażone spojrzenie wbił w ziejącą pustkę lodówki.

- Fa... faszzerowanej? Naszymi brylantami? Nie ma kury?

- Nie ma - stęknął Jupiter Jones. Był to spokój pozorny. W jego mózgu szalał pożar.

- To... tylko wasz pracownik. Przywiózł picie. Ja nic nie widziałem... noo... pracowałem przy komputerze.

- I zapomniałeś o bożym świecie? O kurczaku pieczonym, którego własnoręcznie nafaszzerowałaś brylantami? Nie patrzyłeś facetowi na ręce?

Bob stał niczym skamielina.

- Do głowy mi nie przyszło - wyszeptał wreszcie, po minucie lub dwóch. - Dlaczego mu miałem patrzeć na ręce? Przecież to wasz pracownik.

- Duży i chudy czy mały i gruby? - pytał Jupiter gorączkowo.

- Chyba ma na imię Victor. Tak powiedział.

- Przedstawił się? - zdziwienie Jupitera nie miało granic.

- Coś do mnie mówił, nie pamiętam, byłem zajęty... Jupe, czy on nam ukradł brylanty?

- Na to wygląda - mruknął Pierwszy Detektyw, nasłuchując. Na zewnątrz rozległ się brzęk rowerowego dzwonka. - Pete cię zaraz udusi. Ja nie mam tyle sił.

Crenshaw wszedł, zatrzymując się z lewą nogą za progiem.

- Co się tu dzieje? Dlaczego wszędzie walają się puszki z pićm? Robicie gruntowne sprzątnię? Odmrażacie lodówkę?

- Niejaki Victor podwędził nam kurę. Tę pieczoną. Z brylantami. A Bob dał mu rozgrzeszenie.

Teraz Pete skamieniał.

Sprawa kury stała się najważniejszym tematem dnia. Jupiter Jones w pośpiechu opuszczał Kwaterę Główną, wściekając się, że nie wziął samochodu. Dla "rozruchu", jak mawiała ciotka Matylda, rankami chodził pieszo. Teraz gnał w upalnym słońcu, widząc oczyma duszy, jak Victor zjada pieczone udko, dziwiąc się, że mu jakieś kamyki brzęczą między zębami.

- Żeby się udusił! - warczał wściekle, ocierając czoło. - Żeby mu wypadły wszystkie jedynki! - widok bezzębnego pracownika trochę pomagał.

W składzie złomu praca szła na cztery ręce. Wuj wyładowywał stare zegary kominkowe kupione na aukcji w Oak State. Victor ze zmarszczonym czołem ustawiał mosiężne podstawy równiutko na betonowym podjeździe. Jupiter Jones spadł niczym grom z jasnego nieba. Szarpnął zieloną bluzę pomocnika, celując palcem w jego spoconą pierś.

- Gdzie kura?

Wysoki, chudy mężczyzna o niezbyt rozgarniętym spojrzeniu przystopował, trzymając w obu dłoniach trzydziestokilogramowy ciężar.

- Co?

- Kura. Takie zwierzę. Ptak. Ma dwie nogi... to jest udka i przypieczoną skórę, i znosi jaja.

Wuj podniósł głowę,

- Jupiterze, czy ty się dobrze czujesz?

Pierwszy Detektyw nie przestał nacierać.

- Co zrobiłeś z kurą?

Victor posłał przerażone spojrzenie w kierunku szefa.

- Proszę pana... ja nic...

Jupiter Jones wziął głęboki oddech.

- Postaw ten zegar, Victorze. A teraz postaraj się odpowiedzieć na moje pytania.

Dobrze?

- Dobrze. - Osilek otrzepał spodnie.

- Byłeś w Kwaterze Głównej?

Victor otworzył usta. I zaraz je zamknął.

-W baraku? Byłem. Pani Matylda kazała, żebym wam zawiózł kilkadziesiąt puszek coli. Te od dostawcy "The Best". W zamian za metalowy stelaż.

- Wyjąłeś przedtem wszystko z lodówki?

Victor uśmiechnął się szeroko.

- A jakże. Zrobiłem, jak kazała pani Matylda.

- To znaczy?

Wuj zbliżał się powoli. Cały czas przysłuchiwał się dziwnej rozmowie.

- Czego chcesz od Victora, Jupe?

- W lodówce była pieczona kura. Zniknęła razem z twoim pracownikiem, wuju.

- Żałujesz mu kawałka drobiu? Co z tobą, Jupe?

Jupiter czerwieniał niczym pomidor.

- Nie chodzi o drób. Tylko...

- Tylko co?

Victor rozłożył ręce.

- Nie zjadłem. Wyrzuciłem. Jak kazała pani Matylda.

Teraz zdziwił się wuj.

- Dlaczego, Victorze?

Osilek uśmiechnął się wyrozumiale.

- Pani Matylda prosiła, żebym powyrzucił wszystko, co śmierdzi. Mówiła, że zbyt długo trzymacie jedzenie i ono pleśnieje. Prosiła, żebym wyrzucił, co jest rozpakowane i...

Jupiter Jones wyglądał jak przekłuty balonik, z którego całkowicie uszło powietrze.

- Gdzie to wyrzuciłeś, Victorze?

- Do śmietnika. Stoi tam, koło baraku. Na rogu.

Pierwszy Detektyw rzucił się do telefonu.

- Pete? Weź Boba i przetrząsnijcie ten kontener na śmieci, który stoi za rogiem Kwatery Głównej. Jeśli nie wywieźli odpadków, znajdziecie kurę!

Kiedy spocony i zziębnięty ponownie dotarł do Kwatery, zobaczył, że koło śmietnika roi się od puszek, plastikowych toreb i butelek. Unurzani po uszy w odpadkach, dwaj detektywi pochylali się nad czymś, co do wczoraj było chrupiącym daniem z rożna.

- Macie?

Bob kiwał głową, trzymając w brudnej dłoni aksamitny woreczek.

- Cud boski. Dlaczego Victor ją wyrzucił?

Jupiter Jones oparł się o ścianę.

- Kiedyś wam opowiem. Teraz nie chce mi się nawet myśleć.

Pete skrupulatnie porządkował chodnik.

- Co zrobimy z brylantami? Trzeba je schować w bezpiecznym miejscu.

- To znaczy?

- Bo ja wiem? - Bob ścisnął woreczek. - Może w kloszu od lampy?

Jupiter pokręcił głową.

- Nie. Być może ktoś was obserwował.

- Jak przetrząsaliśmy śmietnik?

- Właśnie. Wciąż mam nieodparte wrażenie, że śledzą mnie czyjeś oczy. I uszy.

Brylanty, bez zatłuszczonego woreczka, wsypali do zepsutego blaszanego budzika, który Pete wygrał sto lat temu na loterii szkolnej. I który stał na biurku w charakterze przycisku do fruujących karteluszków Boba.

- Dobrze. Na krótko. Dopóki nie znajdziemy Hatkinsona. Potem papiery z czarnej aktówki, brylanty wraz z naszym protokołem i innymi dowodami prześlemy koronerowi.

Bob i Pete skinęli głowami.

ROZDZIAŁ 10

TAJEMNICA TAŃCZĄCEJ BECZKI

Tuż przed wieczorem, kiedy zrobiło się nieco chłodniej. Trzej Detektywi jeszcze raz ruszyli do przyczepy Hatkinsona. Skręcając w wąską uliczkę wzdłuż ogrodzenia, usłyszeli hałas.

- Co to było, Pete?

- Odgłos, jakby ktoś trzepał dywan.

Jupiter wyłączył silnik.

- Wątpię, by Cole Hatkinson myślał teraz o brudnym chodniku. To raczej brzmiało jak uderzenie kłapy. Albo zamknięcie kontenera. Dalej pójdziemy pieszo.

Pete trzasnął tylnymi drzwiami forda.

- Cicho! Chcemy nakryć Hatkinsona, a nie zawiadomić, że nadciąga policja.

Przemykali niczym Indianie z filmów o Dzikim Zachodzie. Tuż obok wejścia leżał łańcuch wraz z kłódką. Brama była szeroko otwarta, a na środku placu stał nowiutki japoński nissan na numerach z San Francisco. Pete przykucnął, a za nim pozostała dwójka.

- Co robimy? - Bob bezszmerowo wyciągnął notes.

Od strony przyczepy mieszkalnej ktoś szedł. A raczej biegł. Ciemna postać. Chwilę potem nissan zapalił gładko i wykręcił. Ledwie odskoczyli bezpiecznie w kępę żółknącej manzanity.

- Widziałeś kierowcę?

Pete pokręcił głową.

- Nie. Mignął mi i zniknął.

- Nie zamknął bramy - wyszeptał Bob. - Wróci.

Jupiter Jones wstał. Pozycja kucana nie należała do najwygodniejszych.

- Idziemy sprawdzić przyczepę.

Weszli ostrożnie, nie ukrywając się specjalnie. Zresztą nie było to możliwe. Duży plac, z lewej strony zastawiony rzędami niebieskich beczek, nie dawał żadnej osłony. Nagle coś brzęknęło. Zatrzymali się. Dźwięk szedł z boku.

- Beczki - wysapał Bob.

Znów rozległ się ten sam odgłos. Tym razem głośniejszy. Zanim odskoczyli, pierwsza beczka poruszyła się, przewróciła i zaczęła się toczyć tuż pod ich nogi. Za nią ruszyła druga, trzecia i cały rząd. Hałas był potworny. Chłopcy zatrzymali się jak wryci.

- Tam ktoś jest! - wychrypiał Bob.

Pete zatrzymał go ruchem dłoni.

- Spoko, Bob. Zaraz się okaże.

Beczki uspokoiły się. Ale nie wszystkie. Jedna z nich, z wielką żółtą piątką na szczelnie dopasowanej pokrywie, kiwała się na boki, wpadając w dziwny rytm.

- Ooona tańczy! - wybąkał Jupiter Jones.

- No. Walcuje - zgodził się Pete, wytrzeszczając oczy.

Beczka przechylała się, prostowała, tańczyła w takt muzyki, której nie było.

- Ktoś jest w środku - Bob oddychał głęboko. Okulary zaparowały mu na nosie.

Pete napiął muskuły.

- Dalej, panowie. Ktokolwiek jest w tańczącej beczce, należy do nas. Jupe, weź ten metalowy drąg, który leży pod twoimi nogami.

Bob pierwszy dopadł tańczącej beczki.

- Hej, jest tam kto? - wrzasnął.

Obły kształt uspokoił się, a potem przemówił:

- Otwórzcie! Duszę się!

Cała trójka rzuciła się na pomoc. Podważanie szczelnie dopasowanej pokrywy nie było wcale takie łatwe. Ten, który ją zacisnął, dobrze wiedział, co robi. Zamknięty człowiek nie miał żadnych szans na przeżycie. Był skazany na śmierć.

- Hej, rrrup!

Z beczki wyskoczyła głowa o czarnych, zmierzwionych włosach, a potem cała reszta odziana w niebieską bluzę.

- Lu-Nam? - zdziwił się Bob.

- Jestem Jun-Dzi - wyszeptała dziewczyna, tracąc przytomność.

- Nasz trup - westchnął Jupiter Jones. - Trup, który zniknął!

- Trzeba ją ocucić! - Pete znał zasady pierwszej pomocy. - Zastosuję metodę "usta-usta"! Bob, przynieś z przyczepy trochę wody!

Bob pogalopował w kierunku otwartych drzwi. Tuż za progiem potknął się o metalowy pręt i o mało nie stracił równowagi. Od upadku powstrzymało go coś miękkiego i bezwładnego. Spojrzał, krew odpłynęła mu z twarzy. Poczul, że jeszcze moment, a runie na pasiasty dywanik. To coś miękkiego było ciałem mężczyzny.

- Peete! - wyjąkał, jakby Drugi Detektyw mógł cokolwiek usłyszeć.

Ciało leżało z rozrzuconymi nogami i głową wtuloną w ramię. Bob nie czekał. Nie szukał wody. Spanikował. Wypadł z przyczepy jak z procy.

- Trup! - wrzeszczał, gnając przez plac. O

baj detektywi odwrócili się jak na komendę. Pete przestał dmuchać w usta Chinki.

- Co?

- Trup. Tam leży. Na podłodze.

Jupiter potrząsnął głową.

- Czyj trup, Bob?

- Mężczyzny. Możliwe, że Hatkinsona. Nie patrzyłem. No... on ma twarz w dywaniku.

Boże, przecież i tak nie wiemy, jak wyglądał ten Hatkinson...

Chinka wyraźnie wracała do życia. Szeroko otwartymi ustami łąpała powietrze.

Pete nie zastanawiał się ani minuty.

- Ona musi dostać wody, Bob! Inaczej znów zemdleje. I to z powodu nieudzielenia pomocy. Leć do przyczepy! Już!

Bob zrobił w tył zwrot. Zrozumiał, że musi "tam" wejść pomimo strachu, upału, zaparowanych okularów i wszystkiego, co może się zdarzyć.

Sytuacja na dywaniku nie uległa zmianie. Ciało mężczyzny nie wyparowało, ale... zmieniło pozycję.

- On żyje! - wrzasnął Bob, podskakując. - Ruszył ręką!

Pete potrząsał Chinką, która znów otworzyła oczy.

- Co... ja...

- Nic nie mów. Wszystko będzie dobrze. Możesz wstać? Mogła. Choć nogi miała niczym z waty.

- Usiądź w cieniu - Pete objął kruchą istotę silnym ramieniem. - Już dobrze.

Jupiter Jones stał ze zmarszczonymi brwiami.

- Trzeba zawiadomić policję. I pogotowie. Bob, do diabła, przynieś wreszcie wodę!

Andrews przemógł wstręt i strach. Przeskoczył przez nieboszczyka, który dawał znaki życia, wpadł do kuchenki, w mgnieniu oka napełnił wodą z kranu plastikowy kubek i... chlusnął na leżącego.

- Buuu - zahuczał obłany, próbując odwrócić twarz. Ale Bob nie miał czasu. Następny kubek należał się Jun-Dzi.

Dziewczyna piła jak człowiek, który na czworakach przebył pustynię. Pete zwilżył jej twarz i włosy.

- Dziękuję - wyszeptała. - Co z nim?

- Z mężczyzną? - Bob zanurzył głowę w wiadrze. To mu zdecydowanie poprawiło nastrój. - Żyje. Kto was tak urządził?

Jun-Dzi umilkła. Dłonią zasłoniła oczy.

- Zostaw ją - powiedział Pete ostro. - Teraz zajrzę do przyczepy. Jupe, co zamierzasz robić?

- Spróbuj pomóc tamtemu. Ale go nie ruszaj. Zabierzemy Jun-Dzi i odjedziemy stąd jak najszybciej. Po drodze zawiadomimy policję.

- Że znaleźliśmy Hatkinsona?

- Bob, nie wiemy, czy to on.

- A kto? Jun-Dzi, powiedz tylko, kim jest ten mężczyzna w przyczepie. On żyje.

Chinka otarła mokrą twarz.

- Nazywa się Cole Hatkinson. Jest...

- Wiemy, kim jest - przerwał Jupe. - Nie gniewaj się, ale musimy stąd szybko spadać. Pete, co z facetem?

- Dostał w łeb. Żelaznym drągiem. Przeżyje... tak sędzę. Jun-Dzi, pomogę ci...

Ewakuowali się spiesźnie. Kiedy stary ford wjechał na główną drogę, Jupe zatrzymał się.

- Bob, tam jest budka telefoniczna z bezpłatnym numerem alarmowym. Przysłoń usta chusteczką i powiedz, że potrzebna jest natychmiastowa pomoc.

- Dodaj, że narzędzie niedoszłego mordu leży obok ciała. Niech zdejmą odciski palców! - dorzucił przytomnie Pete.

Gdy Bob wykonywał zadanie, Jupe zajrzał do notesu.

- Zanotował numer nissana. Ma rejestrację z San Francisco.

- Ten sam, co wtedy.

Wrócił zadowolony Bob.

- Nie było Mata Wilsona, tylko Lawson. Koniecznie chciał wiedzieć, kto dzwoni. Powiedziałem, że spełniam tylko obywatelski obowiązek, bo podejrzewam, że rąbnięty w łeb to Cole Hatkinson. I, że o wszystkim czytałem w "Los Angeles Sun". A potem odłożyłem słuchawkę.

Do Kwatery Głównej dojechali o zmroku. Zanim wyszli z auta, dokładnie objechali czworobok ulic. Cisza i spokój mogły być zwodnicze. Pete obszedł posesję ze wszystkich stron.

- Nikogo. Jun-Dzi, możesz wyjść.

Klucz tkwił w dziobie Kaczora Donalda, brylanty pobrzękiwały w budziku. Na ścianie nie było chińskiego znaku ani żadnego innego śladu cudzej obecności.

Dziewczyna rozglądała się z przerażeniem w oczach.

- Mam tu zostać? Sama?

Chłopcy spojrzeli po sobie.

- Nie, to wykluczone! - powiedział Pierwszy Detektyw, otwierając lodówkę. Widok puszek z zimną colą wpłynął dodatnio na wszystkich.

Dziewczyna zakryła dłońmi oczy.

- On. Cole Hatkinson - wyszeptła - bardzo zły człowiek.

- To wiemy. Ale dziś to jego ktoś chciał pozbawić życia. Kto to był?

Dziewczyna odwróciła głowę.

- Nie chcesz powiedzieć? - zdziwił się Bob. - Uratowaliśmy ci życie. Jesteśmy detektywami.

- Wiem. Kiedy tu do was szłam, miałam nadzieję, że pomożecie nam. Mnie i Hun-Wei. Ale wszystko potoczyło się inaczej. Oni są źli. Chodzi o strasznie wielkie pieniądze. I tak mnie dopadną. Tak, jak dopadli Hun-Wei.

- Skąd o nim wiesz?

- Od Hatkinsona. Powiedział: wszystkich was wykończymy! Wszystkich, którzy chcą nam stanąć na drodze do pieniędzy! Za dużo wiecie!

Jupiter odstawił pustą puszkę. Nie zapalali światła, by nie zwabić jakichś nieproszonych gości.

- Mówisz taką ładną angielszczyzną. Nie to, co twoja siostra...

Jun-Dzi szeroko otworzyła oczy.

- Ja nie mam siostry.

Detektywi zamarli. Spojrzeli po sobie z wyraźnym zdumieniem.

- Jak to? A Lu-Nam?

Młoda Chinka wybuchnęła płaczem.

- Ona jest... ona...

- Stop! - wrzasnął Jupiter strasznym głosem. - Już wiem, kim jest Lu-Nam! I wy też wiecie!

Obaj detektywi skinęli głowami. Teraz już wiedzieli. Wszystko.

ROZDZIAŁ 11

TRZEJ DETEKTYWI ROZWIĄZUJĄ ZAGADKĘ

W biurze koronera paliły się wszystkie światła. Grzały się ekrany komputerów i stuknęła drukarka. Obie urzędniczki, ściągnięte z domów, miały pełne ręce roboty. Sam koroner, Lionel Staps, przysadzisty, rudawy facet z irlandzkim akcentem i ciężkim pierścieniem na małym palcu, wpatrywał się w Trzech Detektywów niczym głodny pyton w przywiązane do palików kozy.

- Dlaczego policja nic o tym nie wiedziała?

Jupiter Jones wzruszył ramionami.

- Proszę o to zapytać Mata Wilsona. Miał na komendzie narzędzie zbrodni w postaci ułamanego bagnetu. Myśmy znaleźli go w jednym z pomieszczeń Building Beach Company. Mógł zdjąć odciski palców...

Mat poczerwieniał na twarzy.

- Co mi tu... gówniarze... przecież oddaliśmy bagnet do analizy...

- Proszę się do chłopców zwracać z należyтым szacunkiem! - warknął papa Andrews. Przytaknął mu wuj Tytus. Wszyscy przyszli do biura jako opiekunowie młodych detektywów. - Inaczej złożymy zażalenie w Wydziale Wewnętrznym Policji Stanowej!

Mat Wilson zacisnął wargi. Tutaj nie był panem życia i śmierci. Tu rządzą urzędnicy, których, na co dzień, miał w głębokiej pogardzie. Ale to oni rozdawali... posady. Policyjne też.

- Myśleliśmy, że chłopaki żarty sobie stroją!

- A kiedy ostatnio stroili? - warknął ojciec Crenshawa.

Koroner uniósł dłoń.

- Spokojnie, panowie. Proszę o powagę. Wiem tylko tyle, że zginęły dwie osoby. Zostały zamordowane. Trzecia walczy o życie w szpitalu. A pewna Chinka była wbrew swej woli przetrzymywana w... beczce. Kto poskłada tę łamigłówkę? - jego głos zawisł w próżni.

- Ja - odparł skromnie Jupiter Jones. - Ja wiem wszystko. I moi koledzy - dorzucił po dłuższej chwili. - Bo to było tak: Stan Morrison, właściciel Building Beach Company, popadł w długi. Banki nie chciały już dawać mu kredytów. Postanowił więc wejść w spółkę z niejakim Cole'em Hatkinsonem, który prowadził nielegalny obrót diamentami, a także szlifowanymi brylantami...

- Pod płaszczkiem filii Centrali Handlu Diamentami w San Francisco - dorzucił Bob,

szeleszcząc kartkami notatnika. - To dość skomplikowane, bo filia powstała w Santa Monica bez wiedzy legalnej centrali... nazywa się Namura.

- Kto za tym stał? - koroner podparł brodę dłońmi.

- Nielegalni imigranci z Chin. A konkretnie... - Jupiter Jones zawiesił głos - niejaka Lu-Nam.

- Ta właścicielka baru sałatkowego? - zdziwił się papa Crenshaw.

- Tak. Dziś już wiadomo, że jej odciski palców znaleziono na obu narzędziach zbrodni: ułamanym bagnecie, którym zabiła Morrisona, oraz na łomie, którym usiłowała pozbawić życia Hatkinsona.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - konstabl George Lawson mierzwił włosy. - Przecież dla nich pracowała!

Jupiter Jones uśmiechnął się z wyższością.

- To oni pracowali dla niej. Morrison był potrzebny tak długo, dopóki nie podpisał umowy oddającej na własność Namurze sto hektarów gruntu...

- A potem przestał być potrzebny?

- Stał się zbędny. W klauzuli postanowiono, że w przypadku czyjejkolwiek śmierci ziemia i pieniądze przechodzą na własność strony drugiej. To są tereny o ogromnej wartości.

- A Cole Hatkinson?

- Był tylko pośrednikiem. I, na początku, autorem całej nielegalnej transakcji. Szefowa Lu-Nam nie miała zielonej karty, pozwalającej na pracę w Ameryce - Pete chodził od okna do okna. - Dlatego podporządkowała sobie inną Chinkę - Jun-Dzi. Wszystko szło dobrze, bo Jun-Dzi nie miała pojęcia, do czego służy bar sałatkowy...

- Ale pojawił się jej narzeczony, Hun-Wei.

- Ten, który mazał sprayem po murach? Wrzeszczał na robotników i naubliżał Morrisonowi za to, że go wyrzucił z pracy? - ojciec Boba kręcił głową. Nawet jak na dziennikarza sprawa była zbyt skomplikowana. - Co on miał wspólnego z tym wszystkim?

Andrews uważnie kartkował notes.

- Niepotrzebnie zwrócił uwagę ludzi i władz miasta na bar sałatkowy, Morrisona, i niechęć wmieszał się w morderstwo...

- Jak? - Mat Wilson rozłożył dłonie. - Co on mógł...

- Sam go pan przesłuchiwał jako podejrzanego! - wzruszył ramionami Jupiter Jones. - Tylko że on nie zabił! Nieszczęściem Hun-Wei było to, że znalazł się w gabinecie w trakcie, gdy panowie Morrison i Hatkinson stracili do siebie zaufanie. Awanturowali się o szczegóły umowy. Prawdopodobnie o tę nieszczęsną klauzulę. Tę sytuację wykorzystała Lu-Nam.

Śledząc Chińczyka, o którym wiedziała wszystko, wspięła się za nim po sąsiednim budynku, przeszła dachem do Building Beach Company i... zostawiła odcisk stopy na dywanie w gabinecie.

- Nikt go nie zauważył? - zdziwił się koroner.

- Policja nie zauważyła, gdyż skupiła uwagę na rozsypanych diamentach. Nie zdążyła ich zebrać Lu-Nam ani Hatkinson, gdyż zwiewali w popłochu. Hun-Wei zbyt głośno się zachowywał... ślad zauważyłem ja - Jupiter Jones wyprężył pierś. - Pete Crenshaw przebył tę samą drogę, co złoczyńcy. I zauważył rozsypany cement. Dlatego odcisk był doskonale widoczny. Mała stopa Chinki...

- Podobne ślady znaleźliśmy koło Kwatery Głównej i na piaszczystym podłożu wokół przyczepy mieszkalnej Hatkinsona.

- No dobrze - zamruczał koroner Staps. - Ale dlaczego chciała zabić Hatkinsona? I dlaczego porwali i ukrywali Jun-Dzi?

- To proste! - Pete znów zaczął spacer od okna do drzwi. - Zorientowała się, że Lu-Nam prowadzi nielegalne interesy. Chciała też pomóc biednemu Hun-Wei. Na dodatek napatoczył się jeszcze niechciany adorator, namolny i grubiański Peter Willis, jeden z majstrów na budowie. Jun-Dzi postanowiła o tym komuś opowiedzieć. Nam.

- Wtedy Lu-Nam spanikowała - dorzucił Jupiter Jones. - Zaczęła eliminować ludzi, którzy stanowili dla niej zagrożenie. Także dla Hatkinsona. Uderzyła Jun-Dzi, gdy ta przyszła pod Kwaterę Główną. Potem rąbnęła mnie. Razem z Hatkinsonem zabrali nieprzytomną na teren składu. Trzymali ją najpierw w kontenerze, a w końcu w... beczce. Gdzie udusiłaby się z braku powietrza.

- Takim zagrożeniem dla Lu-Nam stał się w końcu sam Hatkinson? - spytał wuj Tytus, kręcąc w dłoni ulubioną fajkę.

- Jakbyś zgadł. Kiedy Lu-Nam zabiła Hun-Wei, bo był zbyt niebezpieczny, przyszedł czas na ostateczny podział finansów. Hatkinson nie docenił małej, miłej Chincezki...

- A mieszkał na strasznym odludziu - Pete przerwał wędrówkę - do dziś nie rozumiem, dlaczego policja nie przetrząsnęła przyczepy...

Pytanie zawisło w próżni. Zarówno Mat, jak i George milczeli jak zakłęci.

- Wy zrobiliście to bez nakazu! - westchnął koroner.

- Ale inaczej Cole Hatkinson byłby trzecim nieboszczykiem! Cała ta spółka Namura...

- W porządku. Wszyscy zostali dziś zatrzymani. W Santa Monica - potrząsnął głową koroner Staps.

- Widać tamtejsze gliny mają więcej oleju w głowie! - szepnął papa Andrews, uważnie

coś zapisując.

Mat Wilson trzasnął pięścią w biurko.

- Wypraszam sobie...

- A ja wypraszam sobie takie zachowanie - koroner Staps powiedział to cicho i stanowczo. Poskutkowało. Mat zwiesił głowę. George Lawson posapywał przez nos.

- I tak doszliśmy do końca ponurej sprawy - Jupiter Jones uśmiechnął się szeroko. - Jun-Dzi bezpiecznie prowadzi dalej swój bar sałatkowy, morderczyni jest pod kluczem. A Hatkinson wylize się z ran. I też, mam nadzieję, trafi za kratki.

- Podejrzewaliście tę Lu-Nam od początku? - koroner nalał do szklanki z lodem wodę mineralną. Chłopcy spojrzeli po sobie.

- Niestety nie - przyznał Jupiter cierpko. - Zmyliła nas, mówiąc, że jest siostrą Jun-Dzi. Była taka... no...

- Przekonywająca - uzupełnił Pete. - Uwierzyliśmy.

Koroner Staps uśmiechnął się.

- Bardzo ładna dziewczyna. Pewnie dlatego.

- Jun-Dzi bardziej nam się podoba - wyszeptał Bob, czerwieniąc się niczym burak.

Ciotka Matylda z wdziękiem wniosła na stół potężny udziec barani w ziołach. Zapach, jaki się rozszedł, wywołał prawdziwy zachwyty zgromadzonych.

- Do tego pieczone ziemniaki i brokuły! - ucieszył się Jupe. - To lubię!

- Należy się wam dobry obiad - podkreślił wuj Tytus - za rozwikłanie niezwykle skomplikowanej zagadki kryminalnej. Mam też dla was telegram...

- Od kogo? - Pete przestał żuć.

- A jak myślicie? - droczył się wuj. - Od Alfreda Hitchcocka.

Chłopcy wyraźnie się ożywili.

- Co pisze? - Jupiter wyciągnął rękę.

- Nie, ja! - wykrzyknął Bob. - Jeszcze zgubisz, a mnie potrzebny do dokumentacji.

- Dobra, czytaj.

- Gratuluję stop sam nie zrobiłbym tego lepiej stop jak wrócę z Europy zapraszam na budyń migdałowy stop chętnie zapoznam się ze szczegółami stop kończę film o morderczyni która utopiła całą rodzinę w serwatce stop wasz Alfred.

- W serwatce? - zdumiała się ciotka Matylda. - Co oni tam piją w tej Europie?

- Chciałbym tam pojechać. Dobrym, szybkim samochodem - rozmarzył się Jupiter. - Dwieście na godzinę, wiatr we włosach...

- Muchy na zębach... - roześmiał się wuj. - Za wasze zdrowie!

- Jakoś wyrośniemy na ludzi! - uśmiechnął się Pete.

- Nie byłabym taka pewna - zaszemrała ciotka Matylda, ale na szczęście nikt tego nie usłyszał.